Nr. 16. Poznań, Niedziela 15go Lipca 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

SPRAWY EKONOMICZNE.

Kobiecy ruch zawodowy w Anglii.

II.

Na czele komitetu wykonawczego ligi stoi, Miss. F. Routledge, która w uniwersytecie londyńskim zdobyła pierwszy stopień doktoratu filozoficznego. Dla uzupełnienia powyżej podanego szkicu podaję czytelnikowi sprawozdanie z mego interview, który miałem z panną Routledge dla „Przeglądu Poznańskiego.“

„Szczegóły, które pan już zebrał, — mówiła — są zupełnie dokładne i, sądzę, dostateczne dla tygodniowego pisma. Nie zapomnij pan wszakże wymienić panny Abraham i panny Paterson, które były najgorliwszemi pracowniczkami w lidze. Dziś, jak pan wie, zajmują one stanowisko rządowe inspektorek fabrycznych. Jakkolwiek przestały być czynnymi członkami ligi, oddają one zawodowemu ruchowi kobiecemu pierwszorzędne usługi. Obie spełniają swe obowiązki z niesłychaną sumiennością. Panna Abraham pociągnęła ostatnimi czasy przeszło 30 przedsiębiorców do odpowiedzialności za nieprawny wyzysk: panna Paterson jest także postrachem niewybrednych w środkach szkockich przemysłowców. Zresztą pan zna przecież ostatni raport tych pań!“

„Znam. Chcę jednak odpowiedzi pani na kilka zapytań. Przedewszystkiem, czy związki zawodowe kobiece zajmują się polityką i socyalizmem?“

„Znamy się oddawna i pan wie, że nie jestem socyalistką. Ale nie mogę panu powiedzieć, jakie są przekonania robotnic w związkach. W każdym razie nasze związki zawodowe jako organizacye nie zajmują się niczem innem, jak tylko obroną pracy; pod tym względem trzymamy się taktyki, która wytworzyła się w Anglii pod wpływem poszczególnych warunków historycznego rozwoju naszych klas pracujących.“

„Ale pani, o ile wiem, nie podzielasz poglądów starych tradeunionistów i jesteś za interwencyą państwową.“

„Tak jest i pod tym względem wszystkie moje towarzyszki podzielają moje zapatrywania. Należymy wszyscy do młodej szkoły. Zresztą reverend Headlam i Stopford Brooke idą jeszcze dalej: Headlam jest za unarodowieniem ziemi, a kaznodzieja Brooke występuje w swem dziele o Tennysonie jako socyalista. Czy pan zna tę pracę?“

Znam, proszę pani, a części jej słyszałem na niedzielnych kazaniach. Ale zatrzymam panią przy sprawie związków zawodowych. Czy emancypantki bardzo się gniewają na panie za to, że chcecie opieki prawnej dla pracy kobiecej?“

„Gniewały się dawniej — bardzo. Tylko proszę nie mówić złośliwie o pani Fawcett i innych. I ja jestem emancypantką, i ja pracuję w stowarzyszeniach „praw kobiecych.“ Różnimy się tylko co do naszych poglądów na sprawy ekonomiczne. Zresztą dziś już i pod tym względem lepsza panuje zgoda. Jest nas teraz cały legion ekonomistek w klubach kobiecych.“

„Ponieważ mowa o klubach — proszę mi powiedzieć, jaki jest stosunek ligi do panny Maude Stanley i towarzyszek, które zakładają tak zwane kluby dla młodych robotnic?“

„Dawniej stosunek był naprężony. Pan wie przecież, że cele panny Stanley są bardzo chwalebne. Chcą one przeciwdziałać temu zdziczeniu obyczajów, które fabryczna praca kobiet musi szerzyć. Ale co pomogą ich kluby jeśli płaca zostanie obniżaną i jeśli kobiety nadal stanowić będą dźwignię wyzysku. Osobiście bardzo cenię działalność panny Stanley. Z jej klubów wychodzą nasze najlepsze agitatorki...

„Czy nie przesadzę, jeżeli powiem, że ostatniemi czasy rozwój świadomości ekonomicznej zupełnie podkopał dawne panowanie zasad manszesterskich?“

„Ma pan słuszność zupełną i dla tego też powiedziałam, że dziś inne, filantropijne organizacye kobiece, daleko lepiej się do nas odnoszą, a nawet nam pomagają.“

„Czy więcej macie panie trudności z mężatkami, czy też zasada organizacyjna jest słabszą u niezamężych robotnic?“

„Organizacya zamężnych robotnic jest daleko łatwiejszą. Robotnica zamężna, która pracuje, wie już, że fabryka posiadła ją, opanowała nią, że się jej już nie uda zupełnie wykręcić od pracy fabrycznej. Niezamężna zaś robotnica liczy na „dobrego męża,“ który nie dopuści do tego, by miała pracować w fabryce. Dlatego też uważa ona fabrykę za chwilowe zajęcie, które jej dostarcza trochę grosza na ubiór i dla rodziny, więc też nie dba o organizacyę. Niestety: „dobry mąż“ nie pomaga, — przynajmniej nie zawsze.

Następnie zwrócę uwagę pana na to, że związki zawodowe wyłącznie kobiece nie rozwijają się tak dobrze jak te, które są mięszane. W „Związku tkackim północnych hrabstw“, który liczy 71 tysięcy członków, 43 tysiące stanowią kobiety, a tylko 28 tysięcy mężczyźni. Teraz panna Taylor prowadzi żywą agitacyę w Belfast (w Irlandyi), gdzie około 10 tysięcy kobiet pracuje w fabrykach płótna. Już dziś mamy bardzo piękny rezultat: niewielki strejk młodych robotnic przeszedł zwycięzko i okazało się, że jest już wcale liczny zastęp energicznych tradeunionistek.

„Inny bardzo poważny rezultat otrzymaliśmy w Londynie — ciągnie dalej panna Routledge. Nowy projekt reformy prawodawstwa fabrycznego jeszcze wyklucza pralnie z pod nadzoru inspektorów. Otóż liga nasza rozpoczęła agitacyę; obeszłyśmy wszystkie niemal pralnie i urządziłyśmy głosowanie powszechne praczek nad kwestyą poddania pracy w pralniach pod opieką prawodawstwa fabrycznego. 67506 praczek zostało poruszonych naszą agitacyą; z nich 1128 powstrzymało się od głosowania, 439 głosowało przeciw, a 66 tysięcy popiera nasze żądanie.“

„Rzeczywiście dałyście panie dowód pięknej energii, zważywszy na to, że w zawodzie tym istnieje mnóstwo drobnych zakładów...

„Te drobne zakłady są prawdziwą plagą dla robotnika londyńskiego. W nich także pracują rodacy pana, polscy emigranci, których zdzierają i wyzyskują w niesłychany sposób. Jedyny środek na ten wyzysk, to rozszerzenie prawodawstwa fabrycznego na wszystkie warsztaty.“

„Czy może mi pani wskazać fakt świadczący o wpływie związków zawodowych na wysokość płacy zarobkowej kobiet?“

„Faktów takich jest niezliczona ilość. Oto masz pan tu teraz strejk match girls (po polsku zapałkowe dziewczęta — inaczej dziewczęta zatrudnione w fabrykach zapałek) w fabryce Bell i Comp. i mamy nadzieję zwycięztwa, jak to było u sławnego Bryant & May. Mówiłam panu o zwycięztwie dziewcząt w Belfaście...

„Nawracasz pani wierzącego. Idzie mi raczej o fakty dowodzące chronicznego stałego wpływu na zarobki.....“

„Rozumiem pana. Dam panu świetną illustracyę wpływu związków zawodowych na płacę kobiecą. Oto weźmy Lancashire, siedzibą naszego bawełnianego przemysłu, podczas gdy w Jorkshire mamy wełniane wyroby. Płaca kobiet jest znacznie wyższą w przemyśle bawełnianym tylko dzięki silnej i sprężystej organizacyi zawodowej. Kobiety mają w przemyśle bawełnianym niezmierne przywileje, które wywalczyły związki męzkie. To też nasze robotnice lgną tam do związków zawodowych.“

„Czy pozwoli mi pani wrócić do jednego

zapytania. Wypierasz się pani polityki, widzieliśmy się wszak ostatni raz w Hyde Parku, gdzie słyszałem panią na mównicy praczek, piorunującą przeciw lordom!“

„Nie zajmuję się agitacyą polityczną, ale muszę wystąpić przeciwko naszym prawodawcom, gdy stawiają opór koniecznym oraz dojrzałym reformom, mianowicie w kwestyi odpowiedzialności przedsiębiorców w nieszczęśliwych wypadkach, wynikających ze złej organizacyi warsztatów i t. d. Dziś naprzykład gotową jestem wziąść udział w demonstracyi przeciw ministrowi Asquith, który jak pan wie, jeszcze się nie zdecydował rozszerzyć prawodawstwa fabrycznego na pralnie. Już mówiłam panu o naszej agitacyi tu w Londynie. Zważ pan, że nam idzie o obronę 180000 kobiet, które pracują w pralniach.“

„O ile wiem są tu inne zawody, gdzie praca kobieca jest jeszcze bardziej wyzyskiwaną. Czy to prawda, że szwaczki w zakładach kuśnierskich latem zarabiają nie więcej jak 3 szylingi tygodniowo?“

„A zimą nie więcej jak 7 szylingów. Pani Philipps zajmuje się teraz tą kwestyą. Zresztą zna pan zapewne opracowanie panny Collet w dziele Booth'a?“

„Doprawdy podziwiam falangę tych poważnych pracownic, jakiemi Anglia może się szczycić.“

„A czy w ojczyźnie pańskiej kobiety mniej poważnie pracują?“

„Mówmy — proszę pani — o Anglii....

Wacław Nadolski.

POLITYKA.

Przegląd prasy słowiańskiej.

W Słowackich „Narodnich Nowinach poświęca znany poeta i publicysta słowacki Svetozor Vajanski obecnym stosunkom w Węgrzech uwagi następujące:

„Jakaś siła ślepa pcha u nas wszystko ku katastrofom. Tak zostać nie może, mówią wszyscy, którzy chcą i potrafią myśleć. Przekonanie to napotykamy u ludzi najspokojniejszych, idących z rządem, znajdujących u niego poparcie, jako też w rządzie samym. Nawet sam rząd nie wierzy w trwałość obecnych stosunków, widać to po jego miotaniu się gorączkowem, gwałtem przeprowadzanych reformach i naruszaniu ustaw konstytucyjnych, z czego się sam Weckerle chełpił, grożąc magnatom.

„To samo przekonanie spotykamy i u ludu madziarskiego, prześladowanego i wyzyskiwanego, którego miarka cierpliwości już się przebiera, czego dowód mieliśmy w rozruchach chłopskich w sercu Madyarorszagu.

„Opozycya w tym ludzie nie ma już charakteru lojalnej i wiernej opozycyi, jak w Anglii nazywają się whigowie. To samo usposobienie przeważa wśród stronnictwa klerykalnego. A że u nas prześladowanych i uciskanych to przekonanie stało się kotwicą ostatecznego ratunku, nadzieją i modlitwą — tego nie potrzebujemy tłómaczyć. Nigdy jeszcze Słowacya podczas wojen, moru, najazdu dziczy mongolskiej nie cierpiała pod tak strasznym uciskiem jak dzisiaj.

„Dziś kiedy ta idea coraz to szersze przenika warstwy, nie dziw, że wielu zadaje sobie pytanie, w jakim celu robią się u nas tak niebezpieczne eksperymenty. W czyim interesie burzy się zasady sprawiedliwości, fanatyzuje, procesuje? Czemu depcą się prawa historyczne narodów węgierskich, czemu wre wszystko jadem nienawiści?

„Rozumem świat się nie rządzi i przy pomocy rozumu trudno na pytanie to odpowiedzieć.

„Liberalizm madziarski wypowiedział wojnę wszystkim ideałom człowieczeństwa. Jest to bankructwo moralne. Za bankructwo w życiu karzą więzieniem, kryminałem; w życiu narodów bankructwo takie prowadzi za sobą śmierć i ruinę polityczną.

„Temu nie zapobiegnie złoty Moloch żydowski, który spoił się ze rządem madziarskim. Madziarzy sami gotują sobie grób, wypowiedziawszy walkę sumieniu, prawom sprawiedliwości, zasadom religijnym i narodowym.“

* * *

„Kijewskoje Słowo“ pisze o stosunkach galicyjskich:

„W czasach ostatnich dobili się Polacy galicyjscy pewnego znaczenia, ale znaczenie to jest pozornem. Odgrywają oni rolę świetną na oko tylko, dzięki swej polityce agresywnej, która ich popycha do polszczenia Rusinów (!), do zawładnięcia prawosławnym krajem bukowińskim. Tę świetność swoją starają się oni utrzymać obchodami narodowemi, demonstracyami urządzanemi przy lada sposobności, czcząc pamięć lada rewolucyonisty. (!) Tym to sposobem wytwarza się legenda o świetności polskiego narodu, która dla mas ludu i dla świata posiada pewien urok. Potęga i blask polskości w Galicyi to fata morgana.

„Przyjrzawszy się stosunkom politycznym dokładnie, trzeba stwierdzić, iż w polityce nie odgrywają Polacy żadnej roli, stali się bowiem ślepymi wykonawcami woli swych panów, to jest Niemców. Tylko spełniając to, co im Niemcy każą, zdołają się oni na wierzchu utrzymać. Nie Polacy wpłynęli też na politykę antyrosyjską Kalnokyego, bo politykę prowadzi Austrya sama. Rolę Polaków i ich wpływy można przyrównać do owej muchy w bajce Kryłowa, siedzącej na rogu woła, a przypisującej sobie współudział w pracy.

„Pod względem ekonomicznym są Polacy zawiśli zupełnie od żydów. Skoroby tylko żydom panowanie polskie się sprzykrzyło, lub stało niedogodnem, mogą oni z łatwością szlachtę polską z Galicyi usunąć, (!) gdyż w kieszeni żydów znajdują się prawie wszyscy.“

* * *

O przesileniach młodoczeskiego stronnictwa pisze główny organ staroczeski „Hlas Naroda“:

„Najważniejszą przyczyną rozkładu i niezgody w łonie stronnictwa młodoczeskiego jest to, że polityka młodoczeska niczego nie zdziałała, Polityka młodoczeska nie ma wytkniętego celu, a każda polityka bezcelowa nic nigdy nie osiągnie. Tego celu Młodoczesi szukają, ale go nie znaleźli, bo leży on w programie polityki staroczeskiej. Polityka młodoczeska oddaliła nasze społeczeństwo od celu. Dziś to widzi naród czeski sam, więc nic dziw, że budzi się sumienie i obawa przed odpowiedzialnością. Niech się „Narodni Listy“ nie obawiają, że stronnictwo staroczeskie czeka na spadkobierstwo. Jesteśmy nawet przekonani, że nagły zwrot ku naszemu programowi nie byłby pożądanym. Dziś unikać nam trzeba wszelkich zmian gwałtownych, bo toby nas w oczach Europy kompromitowało. Ale niech tak się stanie, aby wszyscy: lud duchowieństwo i szlachta połączyć się mogli w jedno stronnictwo i program wspólny ułożyć dla skutecznej walki przeciw wrogowi wspólnemu.“

*

Bułgarskie „Swobodne Słowo“ w odpowiedzi „Swobodzie“ Stambułowa pisze:

„Rząd obecny nie myśli prowadzić polityki rusofilskiej, gdyż zgadza się on w zupełności

KUBA.

Kartka z życia ludu poznańskiego

przez

An... Ma...

— Jeszcze to waszego nie widać Wawrzyniaczko?

Zapytana, kobieta około czterdziestki, z twarzą, jakby troską jakąś powleczoną, nie odpowiedziała nic, tylko przecząco głową kiwnęła, wzdychając żałośnie. Młodsza, wracająca z dzieckiem od krowy, niezrażona milczeniem, postawiła wiadro, posadziła dzieciaka na ziemi i założywszy ręce pod fartuch, patrzała przez chwilę na długą, staremi topolami wysadzoną drogę, w tym samym kierunku, w którym goniły oczy stojącej ciągle na progu chałupy Wawrzyniaczki.

Wieczór był prześliczny czerwcowy. — Jak okiem sięgnąć ciągnęły się na prawo zieleniejące równiny, ozłocone ostatniemi promieniami zachodzącego słońca. Na lewo od chałupy, gdzie stały obie kobiety, duża wieś szeroko rozsiana, a w pośród niej czerniała wieża drewnianego kościoła z pozłacanym krzyżem na kopule blaszanej, od której gasnące już na równinie blaski tonącego słońca odbijały się tak silnie, że oślepiały zapatrzone oko.

Za nią obszerne zabudowania gosporcze i dwór stary, przedewszystkiem zaś odwieczne drzewa dużego parku, świadczyły o siedzibie pańskiej prawie, gdzie niejedno wychowało się i przeżyło pokolenie. Tak to razem jasno, wesoło wyglądało, przy czysto na bezchmurnem niebie zachodzącem słońcu, tak się uśmiechały białe ściany stodół, tak szkliły okna w chałupach, takie dochodziły radosne beczenia owiec i ryk bydła gnanego z pola. — Tylko dwie wieśniaczki stojące nieruchomie, nie zdawały się podzielać otaczającej je wesołości natury. Starsza raz jeszcze westchnęła i jakby odganiając trapiące myśli, przerwała pierwsza milczenie.

— Już się też chyba Pan Jezus nad nami ulituje, — ale widać było, że sama nie wierzyła własnym słowom.

— A wasz co mówi? — podchwyciła młodsza.

— Mój? czy to wy myślita, że on gębę otworzy. Jak jeno przyjechały te urzędniki i zaczęły popisywać wszystko i onemu na śpichrzu szwargotać po swojemu, chłop wrócił jak struty i ani to hacajki, com mu na słodkim mleku zaklepała, nie tknął, ani się. Boże odpuść, przeżegnał, jeno siedział kieby zbój jaki. A dziś nim rano do miasta pojechał, to ino mi tak powiedział: „Żeby ich, tych odmieńców, jasne pioruny z nieba!...“ A ja mu: Nie bluźniłbyś stary. „Cicho baba — powiada — czy to grzech na tych psiawiarów pomstować, czy to — powiadą i ciebię nie od młodości we dworze stara pani wychowała, za mnie wydała i krowy i domowizny nie pożałowała. A kto — powiada — będzie teraz o nas dbał? Kto w chorobie doglądał?“ Prawdać to prawda, moja Jędrzejko, już my takiego państwa nie zaznamy. — I kobieta w głos zawodzić zaczęła.

— Ej Wawrzyniaczko — przekładała młodsza, toć to ludziska mówili, że ten jeich bogaty krewniak, może na licytacyą przyjedzie i worka rozwiąże i poratuje...

Wtem krzyk dzieciaka przerwał jej dalszą mowę. Czołgał on się dotychczas na ziemi. Wiedziony jednak wrodzonym instynktem, doczołgał do wiadra z mlekiem, spiął o własnych siłach sięgając rączką do środka, ale mu się jakoś noga podwinęła, stracił równowagę i na wznak się przewrócił, wrzeszcząc co gardła. Ten wypadek przerwał rozmowę dwóch kobiet. Obiedwie go uspakajać zaczęły, powtarzając: „Ciszej malutki, ciszej roboszku“, a chociaż dzieciak prędko ucichł, łkając tylko jeszcze chwilami, już się jakoś kobietom nie kleiło.

— Ostańcie z Bogiem Wawrzyniaczko, tam ino patrzeć, jak mój z pola wróci.

Długo jeszcze stała Wawrzyniaczka, a przez topolową ulicę najpierw owce przeszły wzbijając tumany kurzawy, potem pługi zaprzężone wołami

na program Stambułowa, którego punktami najważniejszemi są samodzielność Bułgaryi, nietykalność tronu i dynastyi. Ale trzeba wiedzieć, że Stambułow wprawdzie do programu takiego się przyznawał, ale inaczej postępował i gotów był nawet zrobić zamach na nietykalność księcia.

„Obecny rząd prowadzić będzie politykę taką, któraby Bułgaryi zapewniała pożytek i rozwój ekonomiczny.

„Trójprzymierze jest nam sympatycznem, ale do niego nie przystąpimy, bo nam położenie geograficzne temu przeszkadza. Przymierza z Turcyą nie szukamy, bo byłoby ono skierowane przeciw Rosyi. Rosya jest obecnie wrogo dla Bułgaryi usposobiona, ale nie można tego powiedzieć o narodzie rosyjskim, który politykę rządu potępia. Szukalibyśmy zbliżenia się z Rosyą, ale obawa istnieje uzasadniona, że znowu zarzuconoby nas agentami, którzy tyle rozruchów i niepokojów stali się przyczyną...“

K.

LITERATURA I SZTUKA.

GERHART HAUPTMANN.

Studyum.

II.

Ulubiona przez skandynawskich pisarzy teorya dziedziczności stanowi również fundament drugiego dramatu Hauptmanna pt. „Das Friedensfest“ (Święto pokoju). I temu utworowi otwarła gościnne podwoje wolna scena berlińska, a publiczność złożona z literackich smakoszów rozpływała się w przedziwnych subtelnościach charakterystyki, któremi autor hojnie uposażył rozstrojonych nerwowo bohaterów dramatu. Pospolite typy — zlepki nerwów, żółci i serca wstępują na deski. Każdy z nas spotykał tych ludzi na drodze swojej. Wykrzywiali się, sarkazmem plunęli, łzami się zalewali, męczyli innych i siebie, — ot! indywidua wrażliwe, życiem skwaszone, zdolne do podłości i najgłębszego żalu — ktoźby je nie znał.

Na scenie jednak, ci Hauptmanowscy ludzie wydają nam się jak cudze zjawiska. Wykarmieni elegancką muzą Ohnetów, Feuilletów, Dumasów, wstępujemy do przybytku teatralnego z jakąś dziwną predyspozycyą do tolerowania iluzyi, bo w umyśle naszym zarysowała się linia demarkacyjna, dzieląca świat desek od rzeczywistości, a z dziwacznego rozgraniczenia wyłonił się objaw paradoksalny, że naga rzeczywistość wywiera na scenie poniekąd fałszu wrażenie. Trzeba sporą dozę refleksyi, aby rozproszyć w duszy naleciałości konwencyonalizmu, trzeba się otrząsnąć z szkolnych formułek, aby niezaćmioną źrenicą spoglądać w świat kulis, trzeba pewnej siły woli, aby zburzywszy słupy graniczne, dzielące w umyśle naszym życie od sceny, rozkoszować się Hauptmannowskim realizmem. Zrazu to wszystko cudze dla nas i obce, ale zwolna ucho chwyta dźwięki pokrewne, — ci ludzie zbliżają się ku nam, — to znajomi, rodzina, to my. I wtedy zdaje nam się, że ten dom Scholzów z dramatu Hauptmanna stał gdzieś opodal mieszkania naszego, że widzieliśmy nieraz te fizyognomie skwaszone i słuchaliśmy przez ścianę kłótni rodzinnych, trzaskania drzwiami i skarg monotonnych. Znamy tych ludzi. Jeżeli nie osobiście, to przez kuzynów i krewnych, może w innych stosunkach, w innych waryacyach psychologicznych, ale to oni, to znajomi lub podobizny znajomych.

Dr. Scholz był niegdyś marzycielem i sielankowym ludowcem, a rozkochany w wiejskiej prostocie, niezarażonej zgnilizną kultury, poślubił dziewczę z gminu, — chłopkę o ciasnym umyśle i ciaśniejszem sercu. Na tle związku nienaturalnego rozwija się tragizm rodzinny. Filozoficzny idealizm, myśl reformatorska, wzniosłe porywy marzyciela nie znajdują najmniejszego oddźwięku w duszy prostej wieśniaczki, która w mężu swoim widzi tylko dziwaczny hieroglif. Kontrast taki rzuca cień czarny na małżeńskie pożycie Scholzów. Mąż zrozpaczony zawodem doznanym zmienia się w brutalnego despotę, który tyranizuje przykutą do siebie kobietę, a jej skargi i łzy pobudzają go tylko do coraz rafinowańszych okrucieństw. W żonie z natury łagodnej wyradza się w takich warunkach złośliwość, upór i nienawiść. Męczona chłopka nie stara się unikać drażniących przeciwieństw, nie stara się zbliżyć do poziomu męża, lecz urąga mu właśnie jaskrawością irytującego prostactwa. Z tak niedobranego stadła urodziło się troje dzieci — dwóch synów i córka — a dzieci te noszą w duszy spuściznę sprzecznych charakterów ojca i matki. Są to natury gwałtowne i żółciowe, dotknięte nadczułością nerwów i w samym rozkwicie zważone ponurą atmosferą rodzinnego domu. Życie ich jest bezustanną walką z despotyzmem ojca, stosunek zaostrza się z dnia na dzień, aż wreszcie nadchodzi fatalna chwila decydującego starcia, która rozbija garstkę ludzi, złączoną najściślejszemi węzłami krwi. Stary Scholz, który w alkoholu boleść swoją topił, zatracił do szczętu lepsze pierwiastki swej duszy i pastwiąc się nad całem otoczeniem, targnął się w końcu brutalnie na cześć własnej żony. Wtedy to wystąpił młodszy syn Wilhelm w obronie spotwarzonej, choć zresztą obojętnej mu matki, i w gwałtownem uniesieniu uderzył w twarz znienawidzonego ojca. Kończy się życie familijne. Wilhelm przerażony i zgnębiony wyrzutami sumienia opuszcza dom rodzinny i w świat daleki uchodzi, a ojciec w poczuciu hańby doznanej rzuca również te progi, które go wstrętem przejmują i na pół obłąkany nieszczęściem swojem idzie się tułać po obcej ziemi.

Kurtyna się podnosi. Wigilia Bożego narodzenia — święto pokoju. Do domu rodzinnego wraca Wilhelm młody, który w świecie zdobył sobie poważne stanowisko i pod wpływem ukochanej kobiety, pragnie nawiązać zerwane stosunki z matką i rodzeństwem. Wilhelm nie zdradził smutnej tajemnicy Idzie Buchner, pięknej narzeczonej, lecz ona odgadła, że jadowity robak wspomnienia toczy duszę jego i miękką dłonią kochanki wiodła go wraz z matką swoją w progi rodzinnego domu. A nad tem gniazdem opustoszałem wisi jak dawniej chmura smutku i żal nad życiem, które poszło na marne. Matka zgorzkniała i złamana, — córka żółciowa, zasuszona panna, — syn Robert, kryjący maską zimnego cynizmu duszę wrażliwą i gorącą, wszystko to suwa po scenie jak gady złośliwe lub jeże kolcami nabite. Wzajemne rozdrapywanie i szarpanie stało się w tym posępnym domu chorobliwą namiętnością, każde słowo jest piołunem lub żądłem a śmiech po to tylko zjawia się na ustach, aby je wykrzywić grymasem.

W chwili, gdy Wilhelm staje w progach rodzinnego domu, wieść druga, jak piorun uderza w rodzinę. Stary Scholz, roztrwoniwszy na długiej tułaczce zabrane fundusze, wraca również do starej siedziby, a Wilhelm, w którym budzą się dawne wspomnienia, wije się jak szalony w paroksyzmach nerwowych, oczekując momentu pojednania. Ta scena to najpotężniejsza chwila całego dramatu. Przebaczenie — to ulubiony temat salonowej szkoły francuzkiej. Ileż tam pięknych deklamacyi rzucono, ileż łez wyciśnięto serdecznych. Malownicze pozy, przekleństwa, westchnienia, pieszczoty, cały arsenał

---

chłopi z kosami od siana i własne jej dzieciaki, dwie, już podrastające dziewuchy z roboty i dwóch chłopaków, którzy z najmłodszą gęsi przygnali. Dzwon już przebrzmiał na Anioł pański, świat szarzeć zaczynał, a pięcioro dziatwy dawno miski wypróżniło, kiedy ciężki chód chłopski odezwał się w sionce. Słychać było przez chwilę jakby niepewne szukanie klamki, nareszcie drzwi odepchnięte otworzyły się na oścież i równocześnie dzieciaki krzyknęły: „Ojciec!“ a kobieta siedząca na ławie pod piecem „Kuba“. We drzwiach stał silny z sumiastym wąsem człowiek, na oko młodszy od żony; chłop to był jako dąb, o słowiańskim wybitnym typie, z wielkopolskim odcieniem. Na końcu świata między tysiącami poznać go można. Postał na chwilę, patrząc błędnie w około, nie widząc ani dzieci, ani żony nie czując nawet, że najmłodsza dziewczynka, wyglądająca jakiego z miasta gościńca do nóg podbiegła i kolan się uczepiła. Jakby olśniony światłem dymiącej lampy, trzymał się przez chwilę ramy od drzwi, potem się nagle pod okno potoczył, chciał wyprostować, potknął się i upadł ciężko na stojące tam łóżko. Kobieta spod pieca przybiegła do niego. a dzieci po cichu ze sobą szeptać zaczęły,

— Kuba co ci to? — mówiła kobieta.

Ale chłop nie odpowiedział. Złapała go za rękaw. — Podniósł głowę, chciał coś mówić, ale mu język odmówił posłuszeństwa, zabełkotał tylko i umilkł. Wtedy kobieta nie pojmująca dotychczas co się mężowi stać mogło, załamała ręce, mówiąc półgłosem: „Pijany!“

Nie miał się upić! Kiedy przed paru godzinami tam w powiatowym sądzie przybili wszystko temu rudemu lejtnantowi, co to na wieś polską jak djabeł na dobrą duszę od kilku miesięcy polował. Nie miał się upić! choć zresztą nie pił nigdy. Kiedy tem jednem uderzeniem młotka już to nie pan ich stary będzie nimi rządził. On, co tu z dziada pradziada włódarzył i nie znał innych państwa, będzie musiał służyć temu przybyszowi — szczęśliwy, jeżli go jakim tam Pomrem nie zastąpią. Jeszcze tydzień, a nie będzie śladu po tych, których on od dzieciaka na równi z Panem Bogiem nauczył się szanować, nie będzie się nikomu poskarżyć, nie będzie pójść do kogo, nie będzie starej dziedziczki, co to nie panią, ale matką była dla nich wszystkich, ani panienki, ani panicza — pójdą sobie w świat może bez grosza szukać chleba. Jemu się dotychczas zdawało, choć to ludzie dawno o tem gwarzyli, że do tego dopustu Bożego nie przyjdzie. Tacy państwo! co to wrośli w tę ziemię, jak te stare lipy i sosny, które ich dziadostwo sadzili; — jak te stare ściany drewnianego kościoła, co to niby zawsze się miał rozsypać, a jednak stoi zawsze i góruje nad wsią całą. Pośli na marne i rudy lejtnant tu panować będzie!

Nie miał się upić!

— — — — — — — — — — — — — —

— Kuba, drugi raz już dzwonili na sumę Idź stary, to ci ulży. Ja w chałupie ostanę.

A on siedział ciągle za stołem, patrząc ponuro na obrazy świętych. Grzmotnął w stół pięścią, wziął szeroki kapelusz ze szafy i poszedł.

— Kościół był już pełen ludzi. Proboszcz na ambonie nauczał, że winy bliźniemu odpuszczać trzeba — jak to każdy, choćby największego wroga miłować powinien, jak to pan Jezus na krzyżu wszystkim, którzy go męczyli przebaczył, — a mówił tak pięknie, że ludziska wzdychali ciężko, a i niejedna łza popłynęła.

A Kuba stał przy drzwiach i patrzał na puste przed wielkim ołtarzem ławki dziedziców. w których tylko ekonom z sąsiedniej wsi rozsiadał się z całą rodziną. — Jak tylko pamięcią zasięgnął, jeszcze był chłopakiem w szkole. na tem samem miejscu bielała co niedziela siwa głowa starego dziedzica — i pani i dzieci. — A on potem jak się ożenił i włódarzem został, chodził tam przed ołtarz ze świecą na „Sanctus“ i państwu też świece, tylko z białego wosku podawali. A procesya Bożego Ciała dopieroż! Toć to on zawsze nosił baldachim nad proboszczem, a dziedzic księdza prowadził aż do ołtarza przed dworem, co to go tak pięknie sama pani stroiła. Już tam teraz ołtarza nie będzie stawiać komu. — I myślał, jak ksiądz potem monstrancyą żegnał na cztery strony, a dziewuchy ogrodnika i kowalskie kwiaty mu

melodramatu wytaczają Ohneci i Dumasowie dla rozczulenia teatralnych widzów.

Hauptmann jednak utartym nie podąża torem. Żaden dźwięk jego nie grzeszy patetyczną nutą. Wstyd, żal i nerwy grają w duszy młodego Wilhelma, a stary Scholz przebacza tak jak tylko półobłąkaniec przebaczać może. Gorycz, strach i apatya jakaś wieje z tego starca. Cóż ma powiedzieć dziecku swojemu — on winowajca?! W półsłowach, półjękach, półskargach toczy się akcya pojednania. Coś się tu haczy, coś rwie, a ponad wszystkiem mrok rozkładu i groza szaleństwa. Tak! on przebacza, ale tak patrzy, jakby ręka syna po raz drugi zgruchotać go miała. I patrzy coraz straszniej i czai się jak gad zraniony po scenie, aż wreszcie w halucynacyach trwożnych i konwulsyach zjawia się delirium i pieczęć śmierci kładzie na życiu złamanem. Nad trumną dr. Scholza ukazuje się znowu upiór dziedziczności, znany nam już z pierwszego utworu Hauptmanna. Wilhelm lęka się ojcowskiej spuścizny, lęka się nerwów rozhulanych i zarodków obłąkania, lęka się wreszcie, aby Idy ukochanej los matki jego nie spotkał. Ale miłość, która „Przed wschodem słońca“ uległa doktrynie, rozprasza w „Święcie pokoju“ chorobliwe skrupuły i węzłem małżeńskim łączy kochające serca.

Takim pojednawczym akordem kończy się dramat Hauptmanna, przyjęty przez członków berlińskiej „Freie Bühne“ sympatyczniej nieomal niż pierwszy utwór poety. A jednak „Święto pokoju“ nie ukazało się na żadnej scenie publicznej, choć inne dramaty Hauptmana szturmem zdobywały sobie teatry europejskie. Ani cenzura policyjna nie położyła veto swojego, ani brudnym naturalizmem nie odstraszał utwór poety, — czemuż więc „Święto pokoju“ błysło raz jeden w świetle kinkietów i utonęło w ciemnościach? Takie pytanie nasunąć się musi każdemu, kto słuchał grzmotu oklasków na premierze Hauptmannowskiego utworu. Szukając słowa zagadki należy sobie uprzytomnić charakter publiczności uczęszczającej na przedstawienia wolnego teatru. Wspomniałem już na wstępie artykułu tego, że składała się ona z literackich smakoszów, a tu dla bliższej charakterystyki dorzucam jeszcze rys jeden. Ludzie, którzy zapisali się w poczet członków rewolucyjnego teatru, oceniali w znacznej części utwór każdy z stanowiska reakcyi w sztuce dramatycznej. Sfanatyzowani teoryą „czystego realizmu“ pieścili oko i ucho prawdą sytuacyi i charakterystyki, a w jednostronności krańcowej zapominali zupełnie o innych warunkach twórczości dramatycznej. Kierunek i tendencya były rozstrzygającem probierzem dla zwolenników scenicznego naturalizmu. Wśród pionierów nowego ruchu zasiadało nadto grono rafinowanych estetyków, którzy rozpływali się w subtelnościach i pięknie szczegółów, nie zdając sobie dokładnej sprawy z zasadniczego nerwu, wykończenia typów i ogólnej architektury utworu. Widziałem nieraz w galeryach sztuk pięknych ludzi, którzy zachwyceni bądź to oryginalnem oświetleniem, bądź śmiałem ruchem, bądź nastrojem obrazu ulegali zupełnie jednostronnemu czarowi, ślepi na błędy kompozycyi i rysunku, — ślepi na całość przedmiotu. Takich estetyków hypnotyzowanych mistrzostwem szczegółów widziałem mnóstwo w przybytkach wolnego teatru. Jedna scena, jeden rys świetnie uchwycony, — a dogmat budził się w duszy: To arcydzieło.

Tym to składnikom publiczności krytycznej zawdzięcza poniekąd Hauptmann powodzenie drugiego swojego utworu na wolnej scenie, — ale szeroka publiczność teatralna, to nie grono „wtajemniczonych“ i wspólną tendencyą sharmonizowanych żywiołów. Dziwić się zatem nie można, że uczestnicy naturalistycznych matinées w teatrze Lessinga nie byli autorytetem lub wyrocznią powodzenia dla Lautenburgów, Barneyow, Blumenthalów oraz innych kierowników teatrów berlińskich. Śmiałe to twierdzenie, — ale nie wacham się postawić go z całą otwartością, że „Święto pokoju“, przyjęte burzą oklasków w dzień poufnej premiery, byłoby przed trybunałem przeciętnej publiczności zmarzło wśród ciszy lodowej. Wprawdzie krytyka berlińska i wiedeńska upatruje w drugim utworze Hauptmanna jakieś „oczyszczenie artysty“, ale oczyszczenie to jest czysto technicznej natury. „Święto pokoju“ nie jest poszarpaną, z scen luźnych złożoną i gwałtem lutowaną całością w rodzaju utworu „Przed wschodem słońca“ — „Święto pokoju“, to gmach zbudowany według pewnych prawideł artyzmu, zwarty i więcej skoncentrowany. A mimo to pierwszy dramat Hauptmannowski napręża uwagę i przykuwa myśl naszą do losu bohaterów, drugi pozostawia wrażenie pewnych rysów indywidualnych, pewnych scen mistrzowskich, ale nie wiąże sceny z publicznością, nie przygnębia i nie porywa. W „Święcie pokoju“ spoglądamy długo na rozwój dramatu i pytamy napróżno o intencye autora. W samym końcu dopiero zjawia się konflikt istotny i w mgnieniu oka rozpływa się w scenie miłosnej, błyskotliwej więcej niż pogłębionej i szczerej. Akcya nie wikła się, nie piętrzy w groźne kolosy, lecz snuje się wolno, ślimaczym ruchem, rozkochana w drobiazgowym cieniowaniu dusz ludzkich. Ta drobiazgowa charakterystyka Hauptmanna — to psychologja kropki nad „i“, zmrużonych powiek i marszczek na czole, — a powódź tych drobiazgów jest niekiedy tak potężną, że tonie w niej indywiduum, a zostają tylko rysy pojedyńcze. Doktryna naturalistyczna, — nieszczęśliwa firma Brahm et Comp. — ubezwładniła twórczość poety, bo kazała mu zapomnieć, że najwyższem przykazaniem sztuki dramatycznej jest i pozostanie: Uproszczenie typu.

A jednak mimo wszystkich zarzutów, które wytaczam przeciw drugiej etapie Hauptmannowskiej twórczości, było dla mnie „Święto pokoju“ wróżbą wielkiej przyszłości poety. Psychofotograficzne więzy, któremi skrępowali go berlińscy Kolumbi realistycznych talentów, nie budziły w duszy trwożnej obawy, bo w więzach tych szamotał się talent pierwszorzędny, który prędzej czy późnioj stargać je musiał i skrzydła do swobodnego rozwinąć lotu. Gdy miękki Wilhelm, owiany cynicznem tchnieniem Roberta, skręcał się w bólu szalonym, gdy syn przeklęty przed obłąkanym ojcem bełkotał żalu modlitwę, gdy wulkan dziedziczności nerwowej wstrząsał Scholzów rodziną i w gruzy walił gmach cały, wtedy chwilami przed okiem widzów wyrastał poeta do prawdziwej potęgi i sięgał wysoko tam, gdzie na wyżynach sztuki królują „T k a c z e“ (Die Weber), a niżej nieco „S a m o t n i l u d z i e“ (Einsame Menschen).

Dr. Władysław Rabski.

LISTY
Z KRAKOWSKIEGO PRZEDMIEŚCIA.

VIII.

(S ł ó w k o o k o b i e c i e.)

„Ze wszystkiego, co może zapełnić życie, pozostała nam tylko kobieta“, skarży się Płoszowski.

Ale czem jest kobieta dla dekadentów?

W epoce romantyzmu, w epokach wielkich ideałów kobieta była wcieleniem wielkiej idei miłości, wiecznego związku dusz, uczucia, które łączy w sobie największą siłę namiętności z najwyższą gotowością do ofiar.

Epoki analizy i pesymistycznej krytyki rozebrały uczucie to ze wszystkiego, co było w niem wielkiego i pięknego, pozostawiając pokoleniom schyłkowym niesmaczny ostatek lub wstrętny szkielet...

Gdy miłość zapełniała całą duszę młodzieńca dawnej doby, było to dobre i naturalne. Bo w tem uczuciu koncentrowało się wszystko, co jest wielkiego w życiu. Bo miłość dla kobiety była dlań zarazem miłością wielkich ideałów dobra i piękna, była szkołą poświęcenia i

---

pod nogi sypały. Zdawało mu się, że to już nigdy zmienić się nie może, zawsze tak być musi i zawsze biała głowa dziedzica jaśnieć będzie w kolatorskiej ławce. Dziedzic umarł — on przynajmniej leży tam w grobowcu i żadne go już urzędniki z tej ziemi nie wygnają. Ale została pani stara, ich matka i dzieci. Oj! nie zapomni on ich, nie zapomni i choć chłop prosty, a oni państwo, czuje teraz jak mu łzy spadują na wąsy. Jestże tu drzewo jedno, któregoby własnę ręką nie sadzili. I już nie wrócą nigdy — nigdy.

Przyszedł do niego kościelny ze świecami a on skinął głową, że nie pójdzie.

Po co tam miał chodzić przed pustą kolatorskę ławkę? Jeszcze na ołtarzu obrus co go sama pani tak ślicznie wyszyła — a ornat też nikt inny nie haftował. Nie zapomni on ich, nie zapomni. Ani niemej rozpaczy starej dziedziczki, ani łez panienki, ani płaczącej gromady, co to choć ten rudy lejtnant stał już przed dworem, przyszła im raz jeszcze paść do nóg.

Ksiądz ludzi przeżegnał, organista przez nos zaintonował Anioł pański i ludzie się przed kościół wysypali. On myślał, że chyba wojna przyjdzie, albo takie trzęsienie ziemi, o jakiem to gazety pisały i w kalendarzu, co mu to zawsze na gwiazdkę dawali, czytał. A tu słońce świeci jak świeciło — i pola już żółknąć zaczynają jak każdego roku i urodzaj będzie tęgi, bo wszystko się obrodziło — tylko już nie dla nich. Będą tu młócić i młócić i będzie zboże mierzył na śpichrzu i będą żydy płacić, bo i podrożało podobno. A długoż on jeszcze tak mierzyć będzie? Czy go rudy lejtnant śpichlerzowym zostawi?

— Komotrze — mówi do niego hubiarz Mikołajczak, podając mu tabakierkę — a nie zapomnijta ino, że to we Środę wybory. Dziedzic Wysocka nakazał chłopom rozpowiedzieć, boć to wy niby teraz się pod obcego dostali. A wy to przecież stary praktyk i zawsześta kartki drugim rozdawali. Mam ja tu dla was całą paczkę za pazuchą.

Bierze chłop machinalnie, podaną paczkę — chowa do sukmany, oglądając się na wszystkie strony, jakby to już na niego szpiegostwo czychało, O! bo wie on dobrze co to znaczy. Dawniej toż to wszystko byli w około swoi. Tak to od lat dziesiątka zaczęło się to plugastwo mnożyć i mnożyć — aż wydali te prawa, żeby ich tam z Pomrów i Meklemburga na naszej ziemi osadzać. I teraz, gdy uchyla kapelusza przed Bożą Męką, idzie taki przybylec z fajką w gębie i ani czapki ruszy, ino się tak patrzy, jakby się jeszcze chciał prześmiewać. Ale niedoczekanie twoje psia wiaro! Pójdziemy wszyscy na swojego głosować — pójdziemy jak Bóg na niebie!

— — — — — — — — — — — — —

Zamyka chłop drzwi od śpichlerza — tak jak to od długich lat zwykł zamykać — dzwonili na południe, więc idzie do chałupy — bo tam pewnie już kobieta na niego czeka. Idzie, bo od lat szedł zawsze tą samą drogą, ale idzie wolno i ani widzi, ani słyszy, tylko sobie powtarza: „Pójdę“. — Lejtnant mu dziś powiedział, że jak na wyborach da kartkę na swojego, to go za tydzień z żoną i dzieciakami ze wsi wygoni — i to jeszcze łaska, że mu nie dał innej kartki, że pozwolił zostać w domu. On sobie zaraz w duszy bez namysłu powiedział „pójdę“. To co, że go wyrzucą!

Siada za stołem, bo już strawa się przed nim dymi, ale mu jakoś jeść się nie chce. Toć to dziś po południe.

— Czemu nie jesz Kuba — mówi mu kobieta, a dzieciaki zmiatają, że ino łyżki po talerzach dzwonią.

Pójdzie, a co będzie z nimi? Czy on to teraz miejsce dostanie? Gdzie? — u kogo? — a Lejtnantowi nie trudno go będzie zastąpić, boć o granicę przyszła cała gromada „sznitrów“. On się tu urodził — i ojciec i matka i dziaduś leżą tam na mogiłkach pod wiatrakiem, gdzie to już takie szerokie wyrosły topole. A on ma pójść precz — w świat może daleko.

Kobieta stoi i patrzy, bo i ona już słyszała coś od ekonomowskiego chłopaka.

— Nie pójdziesz Kuba — mówi — nie dasz nas na zmarnowanie.

wytrwania. Bo miłość ta była czcią dla idei wielkiej, bezinteresownej miłości, która później mogła zmienić swój przedmiot i zolbrzymieć razem z wzrostem duchowym młodzieńca do objęcia całego narodu i całej ludzkości. Ale kiedy dekadent lub nawet materyalista, dla którego miłość jest tylko pewnym objawem fizyologicznym, mówi, źa mu została „tylko kobieta“ — już jest na tyle szczery, że nie zastawia się słowem „miłość“ — przyznaje się do zupełnego bankructwa ducha.

Bo też są oni bankrutami na wszystkich punktach: bankrutami względem społeczeństwa, od którego najwięcej biorą, które poświęca najlepsze zasoby na ich wychowanie i wykształcenie, pielęgnując ich kosztem ciemnoty tysięcy, a któremu niczem się nie odpłacają prócz zarazy moralnej, świadomie lub bezwiednie sianej.

Bankrutami w dziedzinie myśli i czynu — bo „przebiegłszy w około wszystkie ideje doszli do tej wyższej sprawiedliwości, która uprawnia wszystkie ideje, wykluczając wszelkie fanatyzmy“ — a tak prawda i przekonanie staje na równi z przyjętemi lub modnemi zwyczajami.

Bankrutami są i względem własnego szczęścia, za którem goniąc jak kot za swoim ogonem, tem pewniej je omijają im gwałtowniej i wyłączniej pragną je posiadać.

Gdzież mają szukać swego szczęścia ci, którzy na życie rzucają się jak dzieci na pudełko łakoci, których nie pociąga ani wielki fanatyzm idei, ani święte pragnienie prawdy, którzy zapoznali obowiązki swoje względem społeczeństwa, dla których ludzkość pod anatomicznym skalpelem analizy, rozcinającej idealne węzły syntetycznego pojęcia, rozproszyła się na zbiorowisko dwunogich istot o rozmaitym poziomie intelektualnym i rozmaitych rozmiarach czaszek? Gdzież jak nie w tym uczuciu, które było zawsze natchnieniem poetów, które jest dla wszystkich najdostępniejsze i najmniej sprzeciwia się atomistycznemu rozpryśnięciu się jednostek?

Prawda, że miłość poetów-romantyków prysła jak tęczowa bańka mydlana pod lodowatym i brudnym tchnieniem mieszczańskiego egoizmu; ale została dla mężczyzny — kobieta, dla kobiety — mężczyzna jako przedmiot eksperymentów, jako główny z tych tysiąca rozmaitych sposobów smakowania życia — dla większości, jak wyznaje Płoszowski — jedyny.

Nie jednakowa jednak jest rola każdej płci i możność eksperymentowania w tym kierunku, a szczególniej zróżniczkowały się stosunki w naszem mieszczańsko-przemysłowem społeczeństwie.

Mężczyzna jest prawodawcą ustaw i zwyczajów; on kieruje wychowaniem, które urabia z dziewcząt to, co najlepiej dogadza panu stworzenia, a co najważniejsza, do niego należy inicyatywa w sprawie zawiązania rodziny, w sprawie tak ważnej, że wobec tej jednej maleją i znikają wszystkie inne jego przewagi na tem polu współzawodnictwa.

Wiele pięknych porywów i szlachetnego zapału włożyli myśliciele i agitatorowie obojga płci w zagadnienie emancypacyi kobiet; wiele drobnych ulepszeń osiągnięto w położeniu kobiety: otworzono jej podwoje wiedzy*), ułatwiono zdobycie niezależności ekonomicznej, gdzieniegdzie nawet dopuszczono do głosowania w zarządach miejscowych.

Wszystkie te zdobycze jednak tak mało zmieniły istotę rzeczy, tak mało przyczyniły się do wywalczenia dla kobiety niezależnego stanowiska w społeczeństwie, jako dla równouprawnionego członka jego, jako dla towarzyszki i współpracowniczki mężczyzny we wspólnem zadaniu dźwigania ciężaru życia, że „kwestya kobieca“ stoi dotąd otworem, zniechęcając jednych swojemi nibyto przesadnemi wymaganiami, zaprzeczana przez drugich, korzących się wobec faktu różnicy organizacyi fizycznej i wynikającej z niej nibyto koniecznej zależności kobiety od mężczyzny.

W rzeczywistości t. zw. „kwestya kobieca“ składa się z dwóch odrębnych zagadnień. Jedno z nich — to zagadnienie społeczno-ekonomiczne, — kwestya dobrobytu; stanowi ono jedynie odłam wielkiego zadania społecznego naszych czasów i tu tylko tyle zaznaczyć winniśmy, że wszelkie zdobycie przez kobietę nowych stanowisk pracy zarobkowej w ustroju społecznym, polegającym, jak nasz, na współzawodnictwie obniżającym ceny pracy do niezbędnego minimum (a często i niżej), spada ciężarem tak na mężczyznę, jak i na samą kobietę, zwiększając tylko ilość pracy wykonywanej w musie przez rozmaitych członków rodziny, za którą wynagradzają tą samą ilością wartości użytkowych. Korzystają więc z otwarcia nowych stanowisk tylko kobiety samotne, które dzięki temu mogą zdobyć sobie jaką taką niezależność ekonomiczną.

Drugie zagadnienienie właściwie kobiece, ma źródło swoje w wyżej zaznaczonym już fakcie.

Dopóki nie skierują się w tę stronę usiłowania, dopóki popyt mężczyzny i to d z i s i e j s z e g o mężczyzny (za chwilę wytłomaczę znaczenie tego wyrazu) będzie decydował o założeniu ogniska rodzinnego, dopóty wszelkie narzekania na przemoc mężczyzn i bezprawie kobiet, wszelkie usiłowania wyzwolenia ich z pod despotyzmu płci silnej będą wywoływać tylko hałaśliwe lecz bezowocne echa z jednej strony, a uśmiechy i docinki z drugiej, dopóty piękne i wzniosłe słowa autorki wiersza „Do kobiety“ tak słusznie podniesionego w jednym z ostatnich numerów pisma naszego, zostaną pięknem marzeniem dla niewielu, a głosem wołającym na puszczy dla większości.

W rzeczywistości odzwierciedla się tu ten sam stosunek w zakresie moralnym, jaki istnieje pod względem ekonomicznym między kapitałem, a pracą. Jak robotnik, chcąc dostać zajęcie, musi się zastósować do żądań „pracodawcy“, tak kobieta, jeśli nie chce wyrzec się ogniska rodzinnego, musi zostać tem, czem pragnie ją mieć mężczyzna i daremnie lepsi z mężczyzn usiłują przez wychowanie i naukę doprowadzić kobietę z inteligentnych warstw do wyższego typu: albo usiłowania ich rozbijają się o nieprzezwyciężony popęd do życia rodzinnego, dla którego kobieta rychło wyrzeka się przewagi umysłowej i moralnej, albo jeśli zasady wszczepione trafiły na grunt mniej podatny — piastunka ich zmuszona bywa wyrzec się ogniska rodzinnego i tylko rzadkim wyjątkom udaje się połączyć jedno z drugim.

Ileż to spotykamy panien wśród najinteligentniejszych, które nie poszły za mąż tylko dla tego, że były wyższe nad swoje otoczenie męzkie!

A jednak nie jeden raz w ciągu dziejowego rozwoju ludzkości usiłowały kobiety wyłamać się z pod tego surowego i hańbiącego „prawa przyrodzonego“, jakby go nazywali socyologowie ze szkoły sielanko-pisarzy ekonomicznych.

Gdy w Grecyi starożytnej wytworzyła się garstka ludzi o wyższej kulturze, zdolna ocenić i smakować rozkosze sztuki i filozofii, znalazły się i takie kobiety, które przejęły się nowemi poglądami i ideami filozoficznemi, wyłamały się z pod ujarzmiającej tradycyi, zamykającej córkę w g y n e c e u m ojca a żonę w gyneceum męża i chciały brać szerszy udział w życiu intelektualnem i społecznem, czując się do niego zupełnie przygotowanemi.

Kobiety te nie zadawalniało już stanowisko, jakie zajmowały ich prababki za czasów homerycznych, lub większości współczesnych im kobiet, stanowisko, odzwierciedlające się w następującem przemówieniu Telemaka do matki swojej:

„Wynoś się do swej komnaty i patrz swoich spraw tylko, przędzalni i szydełka: rozkazuj kobietom, aby pilniej pracowały, lecz

*) Przy tej sposobności przypomnę, że uniwersytet krakowski obecnie otworzył swe podwoje dla kobiet. Według ostatnich wiadomości 49 aspirantek złożyło podania.

— Milczałabyś babo — odpowiada chłop ponuro, bo ona mu mimowoli własną myśl, której się jeszcze wstydzi, nasuwa. — Co tobie do tego?

— Co mnie do tego? Nie pomstowałbyś lepiej, toż żeś ty chłop ino“.

Chłop! tak, on chłop tylko, nie uczony na mądrych książkach, nie bywały po wielkich miastach, ale czy on to nie wie, jak inni, co znaczy rodzinna ziemia. Wie pewnie lepiej, jak ten bogaty Jasny Pan, co to takie dobra na kolonie rozprzedał, chociaż mu bieda na karku nie siedziała. Bieda? A jego jak wypędzą to nie będzie czem ogrzać do zimy, trzeba będzie krówska sprzedać i tę jałówkę, co to ją tak na Jagusine wiano chowali.

A tam za jego chałupą kopią kanał głęboki, a kopią te odmieńce, i jak które z dzieci drzwi uchyli, to słychać ten ich szwargot przeklęty. Jak pójdzie, to za tydzień na tych ścianach, gdzie takie śliczne wiszą obrazy, będą te najemniki zawieszali swoje fajki. I ten psiawiara jeden, co mu to pięścią odgrażał, że mu perek za mało przy wypłacie odmierzył. Niedługo on tak mierzyć będzie... A właśnie, że będzie! Zadzwonili na popołudnie — poszedł i wydawał obrok ze śpichlerza do wieczora i znowu temu odmieńcowi, bo to był dzień wypłaty, perek odmierzył, — tylko mu język jakoś chodzić nie chciał. Teraz już po wszystkiemu — ilu tam ze wsi poszło? pewnie nie wielu, bo się bali tak jak i on, bo im milej siedzieć na jednym zagonie, niż się tułać po świecie. Tydzień temu to on im czytał z tej gazety, że „dziś każdy miał spełnić swój obowiązek obywatelski“.

Burza się zerwała nad wieczorem, a teraz nowy kanał, pełen aż do połowy szumi wodą.

Dzieciaki śpią w komorze i kobieta się też już zwlekła, jeszcze się tylko lampka kopci pod kominem.

Czy to woda tak szumi? Czy wiatr oknami tak łomoce? — Nie to pewnie dziewczę najmłodsze się obudziło i płacze.

— Słuchaj Maryjko — mówi chłop i nadstawia ucha, bo mu jakoś ciarki chodzą po skórze. — To nie wiatr, to nie dzieciak w kołysce, to tam za oknem ktoś woła na ratunek, tam, gdzie ten najgłębszy wykop w kanale, a woła tak, jakby mu woda gębę zalewała.

— Cicho! toć i słowa słychać! ale ni to Jezus Marya zakrzyczy — i nie nasza to mowa — ino djabelskie imię na ratunek wywołuje.

— Zgaś lampę kobieto — mówi chłop głucho, a po chwili już tylko szum wody i wicher słychać za oknem.....

KONIEC.

JERZY BRANDES.

UCZUCIE NARODOWE.*)

(Mowa wygłoszona przy poświęceniu nowego gmachu wolnomyślnego związku studenckiego w Kopenhadze w dniu 1go lutego 1894. roku.)

Tłom. **W. R.**

Zapytajcie się panowie, co stanowi warunek, na mocy którego człowiek wszystkie zdolności swoje rozwinąć i wszystko, do czego zdolnym jest, wykonać może? —

Otóż istota jego rozbujać się musi; pod bezustannym naciskiem troski i zwątpienia uginać się nie powinien: albo szczęśliwym być musi, albo czuć, że go jakiś potężny zamiar, zaufanie do samego siebie lub hardość u n o s z ą.

A jeżeli tem samem pytaniem ogarniecie całe pokolenie i naród, to i wtedy rozbudzenie nastroju, wspólnej świadomości i szczęśliwego

*) Podajemy czytelnikom naszym najświeższy utwór znakomitego estetyka i historyka literatury w tem przekonaniu, że znajdą w nim charakterysцyczne „Memento“ nietylko dla duńskiego lecz i dla naszego narodu. Przyp Red.

słowo tylko mężczyznom przystoi, a mnie zwłaszcza, — gdy do mnie władztwo nad domem się należy.“

Lub w tych słowach Andromachy u Eurypidesa:

„O Hektorze drogi, z miłości ku tobie jedynie znosiłam z wesołem obliczem zalecanki twoje do Kypris, a dzieciom twych nierządnic sama dawałam piersi, aby ci oszczędzić goryczy.“

Za przykładem mężczyzn h e t e r y — bo tak nazywano te kobiety narówni z tanecznicami i flecistkami — zechciały używać tej samej swobody co i oni... Była to pierwsza próba emancypacyi.

Chrześciaństwo i cywilizacya europejska zmieniły rdzennie poglądy i uczucia nasze i chociaż dążenie do emancypacyi kobiety jeszcze nie raz przybierały postać taką jak w Grecyi starożytnej — że przypomnę tylko epokę Odrodzenia, jednak wogóle daje się widzieć prąd stanowczy ku równouprawnieniu z mężczyzną na polu obyczajów w innem zgoła kierunku.

Nie równość w rozluźnieniu obyczajów, lecz przeciwnie w powściągliwości zaznacza się coraz bardziej jako ideał, ku któremu podąża stosunek między mężczyzną i kobietą, a dążność ta zarysowuje się tak w prawodawstwie, jak i w opinii ogółu.

Kierunek ten zaznaczony był już przez Eugeniusza Sue w jego „Wiecznym Żydzie“ a teraz świeżo wytknięty przez Biornsona w jego „Rękawiczce“. Polega on na żądaniu od młodzieńca przystępującego do małżeństwa równej czystości i niewinności, jakiej dziś żąda się powszechnie od dziewczęcia.

Nie miejsce tu wdawać się w szczegóły i roztrząsać następstwa społeczne i etyczne, jakieby pociągnęło za sobą wyrobienie opinii ogółu w tym kierunku, ani wyliczać zarzuty wielokrotne, jakie twierdzenie takie wywołać musi.

Zaznaczyliśmy ty w kilku słowach ogólny kierunek, w którym odbywa się rozwój stosunków małżeńskich, wziętych ze strony uczuciowej i obyczajowej. W następnych listach sprobujemy przyjrzeć się, korzystając z nowszych objawów literatury powieściowej, deseniom, jakie wyrysowuje chwila bieżąca na ógólnym tle rozwoju tych stosunków.

Dzwon.

Monachijskie wystawy sztuk pięknych.

I

Wystawa w Glaspalaście.

Tegoroczne jury wystawy w Glaspalaście obiecało być wyjątkowo srogiem w przyjmowaniu dzieł sztuki. Myślałem, więc, że różnić się ona będzie od poprzednich nagromadzeniem tylko rzeczy, mniej więcej doborowych, posiadających prawdziwą wartość artystyczną. Zwiedzając wystawę, różnicy tej nie odczułem. Wśród okazów rzeczywiście cennych, odznaczających się bądź doskonałem wykończeniem i znakomitą techniką, bądź oryginalnością pomysłu i swobodą oddania, nie brak też jak przedtem rzeczy szablonowych, obrazków tak zw. „wylizanych“ kompozycyi, w których rażą teatralne ruchy i pozycye „robione“. Jednem słowem, tegoroczna wystawa Glaspalastu nie różni się wybitnie niczem od poprzednich.

Najlepiej stosunkowo przedstawia się dział sztuki rzeźbiarskiej: od niego też zaczyna się wystawa.

Wchodzimy do pierwszej sali. Zadumane postacie kamiennych ludzi śnią o życiu, z jakiego je wyrwano. Są to posągi, wśród których bieleją nagie dziewczęta. Wiele ich tu spotykamy, a wszystkie prawie naśladują postawą lub rysami twarze greckich bogiń. Naprawo widzimy śpiewających chłopców, — gipsową grupę K a r o l a E c h t e r m e i e r a. Śpiewają oni zmarłemu twórcy piosenek, Abtowi, a stanęli boso u podnóża pomnika poety. Obok fontany, która na środku sali, schowana w cieniu drzew, drży kroplami i płacze — ukazuje się nam B r u n o n a K r u s e — „Główka Nimfy“ po ramionka, o czystym konturze, dziecięcych zarysach. Profil prześliczny, biały marmur w lekkich półtonach: różowo-żółtawy na twarzy, zielonkawo niebieski w oczach i liściach wianku na włosach dziewczęcej rusałki. Naprzeciwko nęci nas ku sobie, jak gdyby jej rywalka, śnieżnobiała główka niewieścia. To marmurowa „Laureata“ S t a n i s ł a w a C a u e r a. Twarzyczka piękna, cokolwiek marsowa, o delikatnie wykończonych rysach, pełna wdzięku i świeżości. O krok dalej na chwilę stajemy przed gipsowym biustem ks. Bismarka, dłuta M a g n u s s e n a. Pomarszczona, amarantowo-brudna twarz, oczy niebieskie o chłodnem surowem spojrzeniu, szeroki kapelusz szary, co siwą głowę przykrywa, cała postać jednem słowem przypomina nam doskonale starego wroga naszego narodu.

Okazy zabarwianej rzeźby, jakie od lat paru znajdujemy na wystawach w Glaspalaście, zdają się być pierwszemi próbami w tym kierunku, — nieśmiałym zwrotem do przeszłości. Uderza tu utwór G e i g e r a „Kuszenie“. Jest to gips, przedstawiający niewiastę o dobrze modelowanem ciele, i szepcącego jej na ucho słowa pokusy węża. Doskonałem wykończeniem odznacza się „Rybaczka“ M a m b r e s s i n a. Tylko zbyt jej małe i delikatne nóżki stanowią żywy kontrast z całością wiejskiej dziewczyny. Niedaleko od niej zwraca naszą uwagę duża gipsowa statua mężczyzny, zarzucającego linę. Jest to „Gilliat“, dzieło brukselczyka Alberta D e s E n f a n s. Znakomicie udała się artyście trudna, chwiejna poza Gilliata, oraz ruch pełen silnego naprężenia. Pamiętam także K o w a r z i k a grupę gipsową: — robotnika przy kowadle, podnoszącego małe dziecko do ucałowania, podczas gdy inne, większe u nóg mu się czepia. Całość wyborna mimo maleńkich usterek, do jakich należy n. p. niezbyt udatna twarz dziecka.

Wchodzimy do następnej sali. Uwagę tu naszą zwraca najprzód statua gipsowa, dłuta hiszpana F u x a y L e a l. Co za pyszna jest mina chłopca, niosącego mszał: znać tę komiczną dumę dziecięcą, to przejęcie się ważnością funkcyi. Nie mniej dobrym jest atleta artysty D e v r e e s e. Muskularny, barczysty, stoi on pewno na ziemi, a rozwarte ramiona oczekują na przeciwnika, by lada chwila pochwycić go z sobą w zapasy. W grupie bronzowej C h a r l i e r musi nas zachwycić wybornie uchwycony i doskonale oddany wyraz twarzy, modlącej się przed krzyżem wieśniaczki. Jeszcze jedna rzeźba sprawiła na mnie prawdziwe wrażenie. Jeśtto wielkości naturalnej — Chrystus na noszach, przy nim rozpaczająca Magdalena z ukrytą w dłoniach twarzą. Jedyna to rzeźba w małym ciemnym pokoju, ubranym w świerki, jak pokój umarłego. Efekt byłby doskonały, gdyby nie przejmujące wyziewami pobliskiej restauracyi powietrze. Chrystus podobny do tejże postaci u rzeźbiarza Sosnowskiego, znajdującej się w kościele św. Józefa w Warszawie. Ruch Magdaleny dobry, ale czemuż artyście starała się dopomódz, ukrywszy twarz w dłoniach? (Chrystus-rzeźba F i l i p a C i f a r i e l l o).

Z innych rzeźb zwracają jeszcze naszą uwagę dzieła: B e r n e w i t z ' a, E n g e l h a r d a, W a d e r e i H e r t e r a. Teraz przyjrzyjmy się obrazom. Do najlepszych z nich należy doskonale namalowany i oryginalnie skomponowany obraz Kunza M e y e r a. Przedstawia on Judasza, rozpaczającego u podnóża dzikiej skały; gdy we mgle wieczornej ukazuje mu się Chrystus. Artysta w dziele tem stworzył prawdziwy poemat bólu, wyrzutów i rozpaczy. Wszystko tam harmonijne i prawdziwe,

---

natchnienia w którem udaje się wszystko co ważniejsze i spełnia się wszystko co wzniosłe, zależy jedynie od tego, aby jednostka czuła się u n i e s i o n ą.

Przenikać ją musi wola zbudzenia ruchu rozwojowego, albo porwana tym ruchem rozwojowym musi ona zrozumieć, że unosi ją fala przychylnego wiatru lub dusz pokrewieństwa. W jednostce powstać musi samowiedza sił podwojonych w tej świadomości, że wielka całość, do której należy, pragnie stanąć na wyżynach potęgi, wiele ideałów już urzeczywistniła, a zamierza więcej jeszcze urzeczywistnić.

Tak czują całe pokolenia w narodzie, jeżeli zaszumi w nich wicher entuzyazmu dla kultury i piękna jak w Włoszech w epoce renesansu, a w Niemczech w okresie humanizmu: albo w chwilach dominującej samowiedzy zwycięstwa i siły, jak w takich krajach, które szybko i gwałtownie urosły w potęgę.

Lecz mniejsza o źródła uczucia, — koniecznem nie jest, aby rozwinęła się zewnętrzna objętość kraju jak w Niemczech lub Rosyi. Jednostka tylko czuć musi, że kraina jej rozkwita, że słońce ojczyzny się wznosi, — tak było we Włoszech aż do niedawnego czasu, tak dziś jest jeszcze w Norwegii. Wtedy z zbiorowej duszy ludu odwaga i zaufanie do własnych sił w duszę jednostki przenika. Wtedy na własną rękę dąży ona naprzód, pełna przedsiębiorczości, pełna wiary w życie i przyszłość ludu swojego.

Takich przymiotów jak odwagi, zaufania do własnych sił, śmiałości, wiary w życie i w przyszłość nie znajdziesz w szerokich rozmiarach u naszych ziomków współczesnych na duńskiej ziemi. Czemu ich nie ma, — to łatwo wyjaśnić można. Nie wielu z ludzi naszych czuje, że udział biorą w rozwojowym ruchu lub że ich ruch ten unosi, a jeszcze mniejsza jest liczba tych, którzy rozbudzić go pragną. Tłem wszystkiego co się tu mówi i co się tu dzieje jest głęboka depresya.

Pierwsze objawy tego usposobienia znajduję w r. 1870. Gdy przed kilku laty pewien patryotyczny księgarz wydał historyą Danii w języku francuzkim, aby zjednać sympatye Francuzów dla ludu i kraju, ukazała się w jednem z znakomitszych czasopism Francyi recenzya dzieła tego, streszczająca się w myśli następującej: „Książka ta jest godną czytania, bo każdy naród, — wielki czy mały, — może z niej czerpać naukę, jak w polityce działać n i e należy. Widzimy tu jak naród nie źle uposażony popada wskutek politycznego bezrozumu z jednej klęski w drugą i cofa się z stanowiska wielkiego mocarstwa do poziomu potęgi siódmego rzędu, — widzimy jak zakres władzy jego szczupleje, a niezawisłość jego ulega coraz większemu ograniczeniu. Jest to typ politycznego upadku“.

Nie pojmowała tego dokładnie ta generacya, do której ja należę, gdy jeszcze słońce dwudziestoletniej wiosny życie nasze opromieniało. Znaliśmy wprawdzie Knuda Wielkiego, Waldemarów i Małgorzaty, wojny z Szwecyą oraz ich rezultat, znaliśmy punkta pokoju z r. 1645, 1660 i 1814*), — ale nie wyciągaliśmy wniosków ogólnych o rodzaju ruchu tego. Wznosimy się, — tak nam się zdawało. Wojna z r. 1848—1850 przejęła nas zaufaniem do własnych sił: skandynawskie nadzieje i obietnice wywołały wrażenie, że niebawem urośnie ojczyzna nasza.

A potem nadszedł rok 1864**). Rok ten nie powiększył ojczyzny naszej. Skurczyła się stara ojczyzna.

Lecz i wtedy nie wierzyła młodzież w stanowczość upadku potęgi naszej i wpływów. Spodziewano się rekonstytucyi, — spoglądano najpierw na Austryę, a później na Francyę. Gdy pierwsze iluzye w r. 1866 runęły, chwycono się

---

*) W roku 1645 straciła Dania wszystkie niemieckie posiadłości, w r. 1660 szwedzkie prowincye, w r. 1814 Norwegię. (Przyp. Tłom.)

**) W r. 1864 straciła Danja Szlezwig i Holsztyn. (Przyp. Tłom.)

nie ma nic z jarmacznych teatralności. Również oryginalnym jest Karola Hartmana „Faust w kuchni czarodziejskiej.“ Patrząc nań musimy podziwiać śmiałość pędzla, efektowne oświetlenie, oraz prawdę, z jaką wybrnął artysta ze swego trudnego zadania. W tejże sali, co i obraz Hartmana, znajduje się śliczna główka młodej kobiety z uśpionem dzieckiem u łona. Zwraca on na siebie uwagę wytwornym rysunkiem obok prawdziwego kolorytu. Ładny obraz rodzajowy dostarczył wystawie Adolf Echtler: dziewczyna wróciwszy z maskarady, płaczę, siedząc w pokoju, gdzie za podartym papierowym parawanem kona, a może już zmarła, jej matka. Dziwnie się odbija jej szkarłatna suknia karnawałowa na tle nędzy całego pokoju. Artysta znakomicie oddał tu łamanie się trzech świateł: słabo palącej się przy łóżku lampki, szarego zmroku nocnego i walczącego z nim brzasku dnia. Obraz sprawia dosyć silne wrażenie. „Ważna tajemnica“, niewielki obrazek Wunscha, przedstawia nam dwóch małych chłopców, z których jeden zwierza się drugiemu z jakiegoś sekretu. Wyborna jest charakterystyka tych dziecięcych twarzy, na których maluje się tajemniczo-poważny nastrój. Szczególniej skupienie uwagi słuchającego jest oddane doskonale. Gabryel Max wystawił około dziesięciu różnej treści obrazów, z których najlepszym jest „Narzeczona z Koryntu“. Między innemi jego płótnami znajdujemy też i nową portretową grupę małp. które nie gorsze są od innych swych towarzyszek, znanych już z poprzednich wystaw.

Dobrym rysunkiem i eleganckiem wykończeniem odznacza się parę obrazków Roubaud, naśladowcy Brandta. Największym z nich i może najlepszym jest „Wymiana jeńców wojennych pomiędzy plemionami kaukaskiemi, a wojskiem rosyjskiem.“

Podoba mi się wiszący w kącie jednej z sal obrazek Beckmana, na ramach którego widnieje napis „Perdita“. Taka młoda, z wyrazem smutku i niewinności w podsiniałych oczętach, koralowemi usteczkami, z których zdaje się, że słychać cichą skargę na ten świat, co do występku popycha, — ona, biedna, już „perdita“!...

Ogólne zainteresowanie budzi kołosalnych rozmiarów obraz młodego malarza Szczeszewskiego, pochodzącego z Litwy, pod tytułem „Morituri“. Przedstawia on kilku więźniów politycznych, wyczekujących swego losu w celi więziennej. Wyborny jest jeden, zapatrzony przez zakratowane okno na podwórko cytadeli, gdzie przy bladem świetle poczynającego się dnia — stawiają szubienicę. Reszta osób wiele pozostawia do życzenia i nie wiąże się z więźniem, wyglądającym przez okno. Wogóle obraz zyskałby podług mnie, gdyby można było obciąć połowę z czterema rozpaczającymi więźniami, malowanymi jak gdyby z jednego modelu, i zamiast „morituri“ podpisać „moriturus“. Pomimo usterek obraz ten jednak zostawia po sobie silne wrażenie.

Wśród płócien angielskich malarzy jednem z najlepszych jest Swan'a — lwica, karmiąca swe kocięta. Tuż obok niego wisi obraz Henry Tuke, gdzie widzimy marynarzy zabawiających się na pokładzie grą w karty: Doskonałą jest charakterystyka twarzy: prawdziwe „morskie wilki“! Dobrą też bardzo jest scena myśliwska Bursego, oraz obrazy Fultuna i Alm'a Tade'my. Wspaniałą architektoniką, silnemi farbami i detalicznością w wykończeniu zwraca na siebie uwagę płótno włoskiego malarza — Viniegra y Lasso, przedstawiające wnętrze kościoła podczas jakiejś uroczystości. Znakomitem znowu wydobyciem powietrza wyróżnia się namalowany doskonale płaszczyznami obraz hiszpana Ramona Casas, z młodą parą, — mężczyzną i kobietą, na tle jasnego pokoju. — Oglądając tegoroczną wystawę, zauważymy płótna kilku malarzy, całem wykonaniem swem przypominające dzieła średniowiecznych mistrzów. Wątpię, żeby to miał być zarodek jakiego nowego kierunku, przypuszczam łatwiej, że to cofanie się do przeszłości jest prędzej jednym z wyników chorobliwego dążenia do malowania rzeczy oryginalnych, zwracających na siebie uwagę publiczności. Do takich np. zalicazam — Sandreutera — „U wrót nieba“ i poczęści też Geets'a — „Teatr maryonetek na dworze Małgorzaty austryackiej“.

Wśród pejzażystów pierwsze chyba miejsce zajmuje Karol Palmić. Mamy tu trzy utwory jego, a wszystkie nęcą oczy świeżością przedstawianej natury, jasnemi farbami i świetlanem powietrzem. Po mistrzowsku potrafi artysta oddawać wodę. Czyż nie śliczną jest n. p. ta wązka rzeczółka, płynąca spokojnie wśród wiosennych łąk, w której tak cudnie odbijają się porosłe po brzegach olszyny i lazur nieba? Znać też, że niedawno musiał padać deszczyk, bo czuć w powietrzu świeżość i wilgoć. Również po mistrzowsku oddana jest powierzchnia wody na drugim pejzażu, tylko, że razi tam wzrok widza, zadużo nagromadzonych barw pomarańczowych, pochodzących od zachodzącego słońca.

Wyborne są też pejzaże Villegas'a, jak pod względem doskonałego rysunku tak też i znakomicie uchwyconego kolorytu, dalej Retticha — śliczne „Łożysko Izary“ i Andersena-Lundby — 2 ładne zimowe krajobrazy.

Z portrecistów dwóch króluje ponad wszystkiemi. Pierwszy, — to Franciszek Lenbach, znany już chyba doskonale szerszym sferom publiczności. W Glaspalaście tego roku cała jedna salka poświęcona jest wyłącznie jego dziełom, wśród których na pierwszem miejscu widnieje nowy „Bismark“, niemniej wybornie wykonany, jak i poprzednie. Z obrazów tych można upewnić swe przekonanie, że jeśli Lenbach zdobył nieśmiertelną sławę, to bynajmniej nie techniką swoją, której przeczą n. p. grube kontury, lecz tym talentem z jakiem potrafi uchwycić najmniejsze szczegóły twarzy, by oddać ją bez różnicy podobną do oryginału.

Oprócz portretów, można też podziwiać w Glaspalaście i wyborne szkice Lenbacha. Drugim po nim, jeśli nie równym mu, jest belgijski artysta Jean de la Moese. Portret jego damy o typie murzyńskim, oraz wizerunek mężczyzny w starszym wieku, są prawdziwemi arcydziełami w swoim rodzaju. Co za poprawny rysunek, jaka indywidualność bije z tych rysów, namalowanych z najdokładniejszą prawdą oddania... Wśród portretów lubię też płótna Gillies'a, Marro i Reida.

Słabo się przedstawia w tym roku dział akwarelowy. Tylko wyborne akwarele Oliviera i Simoni'ego zwracają na siebie powszechną uwagę.

Jeszcze gorzej jest z pastelami, bo oczywiście trudno się nawet zdecydować, które z nich są najlepsze.

Nie będę tu wspominał o obrazach, które podług mnie wartością swą ujmę przynoszą wystawie. Zresztą, co prawda, takich jest nie dużo: — daleko więcej jest rzeczy zupełnie szablonowych, nie bardzo złych, ale też i nie odznaczających się niczem, które przechodzeń pomija, rzuciwszy nań raz okiem. Do tych ostatnich należy też obraz znakomitego Böcklina — „Bój Teutonów“, kompozycyą mocno przypominający podobnej treści obraz Rubensa.

Chciałbym jeszcze powiedzieć tylko słów parę o polskiem malarstwie na tegorocznych salach Glaspalastu.

Odkładam to na sam koniec, bo nie wiele mam do napisania.

Zapewne wskutek wystawy lwowskiej reprezentuje się tu sztuka polska dosyć słabo, bez porównania gorzej, niż w latach poprzednich.

Najlepszym z polskich obrazów, który można zaliczyć do prawdziwych ozdób Glaspalastu jest dzieło profesora Brandta. Przedstawia ono kozaków, wracających do obozu ze zdobyczą i odznacza się wszystkiemi przymiotami Brandtowskich obrazów, o których pisać specyalnie będzie chyba zbytecznem. Prześliczną też jest Wierusza Kowalskiego łąka zalana wiosennemi potokami i na niej parę wspaniałych łosiów. Oprócz tego obrazu wystawił profesor Kowalski jeszcze dwa

---

oburącz z tem większym entuzyazmem i tem silniejszą wiarą — wiarą której co do mnie nie podzielałem bynajmniej — ostatniej wielkiej nadziei. Niebawem nastąpiło starcie Niemiec i Austryi, a rezultat starcia tego znacie panowie.

Teraz już faktu nikt zaprzeczyć nie mógł: My, wonczas żyjący Duńczycy, staliśmy w obliczu upadku: nie podnosiły ducha naszego szczęśliwe zdarzenia i pocieszające stosunki Tak! mogę śmiało powiedzieć, że rzadko która generacya rozpoczęła bieg swojego życia pod presyą tak przygnębiających wrażeń, jak pokolenie, które młodością rozkwitało w r. 1864, a w r. 1870 zbliżało się do wieku męzkiego.

Sparaliżowaną i złamaną była Danja na zewnątrz. Na wewnątrz spowodowała utrata Szlezwigu zniesienie czerwcowej ustawy gruntowej, a od r. 1870 zwróciło się panujące narodowo-liberalne stronnictwo nawet po za obrębem dziedziny politycznej w kierunku wyraźnej reakcyi. Przerażone pierwszemi objawami socyalistycznego ruchu wśród robotników i symptomatami wolnomyślnych prądów w kołach inteligencyi wykonało stronnictwo to woltę niespodziewaną.

Zdepczcie ich! — oto hasło potentatów, a wśród obelg, które miotano na duchy niespokojne, znalazł się także zarzut, że obie grupy działają niepatryotycznie i nienarodowo.

O ile zwolna, ale pewno postępująca organizacya robotników zmierzała do tego, aby kapitalistom utrudnić sprowadzenie obcych robotników i tem samem los duńskich robotników polepszyć, o tyle nie działała ona żadną miarą niepatryotycznie, a o ile ruch literacki zmierzał między innemi ku temu, aby duńskim czytelnikom udzielać informacyi prawdziwszych o położeniu Europy niż utarte poglądy, o tyle ruch ten był na wskroś patryotycznym: w chwili owej nic patryotyczniejszego nawet pomyśleć sobie nie można. W roku 1864 statek nasz rozbił się o przerażającą ignorancyę w sprawie rzeczywistych stosunków Europy. W r. 1870 bylibyśmy o włos utonęli w otchłani zguby dzięki tej samej dyspozycyi duchowej, która nas bezustannie poiła wiarą w to wszystko, co było życzeniem naszem: był już istotnie czas najwyższy, aby rozszerzyć znajomość otaczającego nas świata. A część ówczesnych dążeń duchowych ku temu zmierzała.

Wewnętrzny stan kraju był chorobliwym. Od r. 1864 przestała Europa interesować się nami. Przez długi czas byliśmy małym interesującym narodem. Trwało to dosyć długo zanim zrozumieliśmy nareszcie, że interesującymi już nie jesteśmy. Jednem słowem nie wiele było takich szczegółów w początkach lat siedemdziesiątych, które budziły w nas ufność, że należymy do społeczeństwa o ruchu postępowym i rozwojowym.

Mimo to wierzyła pewna część ówczesnej młodzieży w postęp i atmosferę sprzyjającą rozwojowi, bo czuli silnie w własnem wnętrzu rozwój i postęp. Jeden z tych młodzieńców który dziś już nie żyje, tak odmalował w „Niels Lyhne„ ów nastrój:

„Byli oni przepełnieni prądami nowemi, pijani teoryami nowemi, dzicy siłą nowego i oślepli jego jutrzenkową jasnością... Entuzyazm szturmu szalał w duszach młodych i była tam wiara w światło wielkich gwiazd duchowych i była tam nadzieja jak morze. Na orlich skrzydłach unosił ich zapał i rosło serce odwagą tysięcy... Jakież to chwile były cudowne, a pełne nadziei! Z jak dziwnem uczuciem słuchało się niewyraźnych, tajemniczych szeptów duszy, których dźwięk wylatywał w świat rzeczywistości jak uderzenia maczug o mury świątyni, jak dziko wyzywające puzonów tony, jak świst kamieni Dawidowych w locie ku czołom Goliatów i jak fanfary ufne w zwycięztwo.“

Nasze polityczne stosunki poczęły nas wkrótce osławiać. Już prowizoryum z r. 1877 wywołało w sąsiednich państwach zdziwienie.

inne, z których najsłabszą wydaje mi się scena myśliwska, gdzie oprócz nie szczególnie namalowanego pejzażu jest dwóch myśliwych, obróconych do widza w niezbyt estetyczny sposób.

Dwa ładne myśliwskie obrazy dostarczył też Michał Wywiórski, a Julian Fałat — doskonały portrecik mężczyzny, roboty akwarelowej, i drobną akwarelę: „Ze wspomnień myśliwskich". Oprócz nich wymienię jeszcze dwa płótna polskiego pędzla: Rosena obraz przedstawiający Napoleona, gdy wsiadając w Smorgonii do karety, żegna się ze swymi marszałkami. Na obrazie tym konie, twarze, buty, mundury, a nawet sam Napoleon, jednem słowem, wszystko oprócz brunatno-niebieskiego śniegu, jest czekoladowego koloru. Na dużych rozmiarów obrazie Tadeusza Ajdukiewicza widzimy przegląd wojsk przez księcia bułgarskiego Ferdynanda. Cały obraz cechują sztywne ruchy i teatralno-naciągnięte pozy.

J. O.

Monachium, 16-go czerwca.

BADANIA NAUKOWE.

Nauka czy mistycyzm?

Mistycyzm nowoczesny przybiera formy nader oryginalne. Przypatrując się baczniej jego rozwojowi, przedewszystkiem zaś poruszanym zagadnieniom, niejednokrotnie znaleźlibyśmy się w niemałej trudności, gdyby od nas zażądano wyznaczenia, gdzie się kończy nawskroś pewna i ustalona dziedzina psychologii fizyologicznej, a rozpoczyna się sfera transcedentalności albo wprost maligny, prostaczego umysłu. Granice te zostały zatarte, tak, iż chcącemu poznajomić się z ostatniemi dążnościami i poszukiwaniami w zakresie psychologii, niełatwo spostrzedz, kiedy schodzi z ubitej ścieżki pozytywnego faktu i zbłąka się na manowcu. Nadto próby rozszerzenia badań naukowych na pole, które dotychczas uchodziło za niepodatne dla tych celów, a nawet za nieistniejące dla wiedzy, bynajmniej nie noszą na sobie jakiegoś dorywczego charakteru. Nie! Studya, o których mówić zamierzamy, zwolna oswobodziły się od tego bajania z jakiem tego rodzaju opowieści nawykliśmy łączyć w naszym umyśle. Metoda pozytywna, jaka istnieje chociażby w fizyce, oraz krytyczna ocena faktów, właściwa najnowszej szkole historycznej, zapanowały tam w zupełności. Obecny transcendentalista-mistyk co do swej metody ma zupełne prawo powiedzieć, że zastósował empiryczny pozytywizm do pytań, uchodzących za niepoznawalne.

Właśnie korzystając z prac londyńskiego towarzystwa psychicznego — Society for psychical researches, zatrzymamy się obecnie uad szeregiem faktów, które materyalistycznie myśląca grupa członków wiąże ze zjawiskiem działania myśli na odległość. Drożyna, po której pójdziemy, jest z początku zupełnie pewna: nazwiska badaczów ręczą za sumienność, sposoby dokonywania studyów mogą zadowolić nawet najwybredniejsze wymaganie. Metoda później nie zmienia się, nawet nazwiska, z którymi spotykamy się na pierwotnym gościńcu, występują na drogowskazach dalszej podróży, ale ścieżyna poczyna jakoś skręcać na manowce.

Przedewszystkiem jednak, czy istnieje działanie mózgu na mózg z odległości? Innemi słowy, czy idea, istniejąca w jednej jaźni, może, w sposób wykluczający przypadkowość, być wykrytą i odgadniętą przez inny mózg bez udziału pośrednich czynników fizycznych? Jaki jest mechanizm tego oddziaływania, to w danym razie stanowi rzecz zgoła obojętną. Ktoś usiłował znaleźć analogię w świecie fizycznym: więc przyrównywa mózgi do dwóch instrumentów muzykalnych, z których jeden, zmuszony do wydawania dźwięków, obudza od czasu do czasu samodzielnie pojedyńcze tony w drugim, bezczynnie spoczywającym. Mniejsza zresztą o wytłomaczenie zjawiska; dosyć na razie tego, że fakty — obecnie znajdujące się w rozporządzeniu wiedzy, nie tylko uprawniają do postawienia takiej kwestyi, lecz nawet czynią prawdopodobnemi ideje współdrgania dwóch mózgów bez pośrednictwa widomych czynników fizycznych. Rozważmy n. p. poszukiwania Karola Richeta. Ktoś obierał jakąś kartę, a ktoś inny, w stanie normalnej trzeźwości umysłowej, odgadywał ją. Wyniki swoich studyów uczony francuzki ogłosił w „Revue philosophique", a streścił je w sposób następujący: 1) idea może być podawana na odległość działaniem woli, 2) zdolność odgadywania jest właściwą różnym osobom nie w jednakowej mierze. Richet do swoich poszukiwań zastósował teoryę prawdopodobieństwa. Gdyby odgadywanie odbywało się bez poddania myślowego i oddziaływania mózgów, wtedy liczba szczęśliwych wypadków nie powinna przewyższać pewnego procentu, wyznaczonego przez teoryę wielkich liczb. Jeżeli jednak stale okazuje się jakaś przewyżka po nad liczbę przepowiadaną przez rachunek prawdopodobny, naówczas trzeba ją położyć na karb nowo wprowadzonego, a niezbadanego czynnika — świadomej suggestyi. Otóż Richet twierdzi, że z ogólnej ilości wypadków, badanych u osób, niezdolnych do uśpienia hypnotycznego, aż szesnasta część pochodzi z działania wpływu poddawczego. Bywało niekiedy odgadywanie wyrazów, złożonych z wielu głosek i tam, gdzie teorya prawdopodobieństwa przyjmuje jeden dodatni wypadek na miliard doświadczeń, właśnie pod wpływem poddania ów rzadki rezultat został otrzymywany. Jak rzekliśmy powyższe próby czyniono na zdrowych, ściśle mówiąc — normalnych osobach. Na somnabulistach wypadły one jeszcze pomyślniej. Faktów w tej mierze jest tyle, przytem tak systematycznie otrzymanych i z zachowaniem takich ostrożności, że wiarogodność zjawiska dla mnie osobiście jest niewątpliwą. Somnabulistom myślowo poddawano złożone czynności, kazano opisywać miejsca, nieznane uśpionemu, a które miał w myśli poddający. Osoby badane wywiązywały się z zadania wybornie. Owo „jasnowidzenie", o którem krążą różne legendy, jest niczem innem, jeno odgadywaniem cudzych stanów myślowych, niby współdrganiem dwóch mózgów w jednym tonie idejowym. Niekiedy współdrganie dotyczy niewiadomej cerebracyi mózgu, tak iż somnabulista odgaduje ukryte i niejawne myśli, co dla osób zabobonnych nadaje całemu objawowi efekt czynu nadprzyrodzonego. Co więcej — w tym razie idziemy już po nieco pochyłej acz względnie jeszcze dość pewnej drodze owo oddziaływanie z odległości na mózg somnambulistów możliwe jest na wielkiej przestrzeni. Francuzki „Przegląd psychologiczny", wydawany przez Ribota, swojego czasu umieszczał sprawozdanie z doświadczeń doktora Janeta w Hawrze na bardzo znacznej odległości — kwadrans drogi.

Są to fakty ustalone. A teraz, zanim pójdziemy dalej, musimy potrącić jeszcze o inny szereg objawów, również niewątpliwych. Zahypnotyzowanym osobom poddawano rozkaz, że tego a tego dnia na jawie mają widzieć w danem miejscu takie lub owakie przedmioty. Poddane złudzenie subjektywne nie występowało — osoba widziała, odpowiednio do rozkazu, rzeczy, które nie miały żadnego przedmiotowego oparcia. W tej liczbie też poddawano postacie ludzkie, doświadczenie zaś to udawało się na równi z innemi. Ktoś widywał obok siebie osobę, którą kazano mu w śnie hypnotycznem ujrzeć o tym lub innym czasie. We wszystkich tych wypadkach ideja uzewnętrznia się, z formy często abstrakcyjnej przyjmuje halucyacyjno-

---

W Berlinie słyszałem dysputujących w tej sprawie posłów. Jeden z nich mówił: „W Danii rozbito konstytucyę. Ministerstwo zabiera fundusze, których sejm nie uchwalił. Patrzcie: To szkoła Bismarka!" Inny odpowiedział: „Nie! Nie! tu nie ma paraleli. Nigdy nie odważono się u nas na coś podobnego." — A jakże niewinnem było to prowizorjum wobec późniejszych. Później, gdy utrwalił się stan ten bezkonstytucyjny, była Dania za granicą przedmiotem podwójnego lekceważenia. Śmiano się z stróżów prawa, ustaw i moralności, którzy rządzili tą Liliputów krainą, i szacunkiem nie darzono narodu, który znosił z roku na rok, z jednego lat dziesiątka na drugi cierpliwie takie bezprawia.

Wszystko, co Duńczycy zresztą w nowszych czasach zdziałali, budziło mało, może za mało uwagi. Najdonioślejszy z czynów naszych: przewrót w rólnictwie, — tak szybko, a dzielnie wykonane przejście do nowej formy produkcyi masła, — nie mogło powszechniejszego wrażenia wywołać.

Z okazyi wiedeńskiej wystawy wszechświatowej w r. 1873 publikował Francuz pewien, bezstronny sędzia duńskiego kraju, w „Gazette des beaux arts" dość obszerną ocenę szwedzkiej i norwegskiej wystawy sztuk pięknych, — a o naszej ojczyźnie ani jednego nie powiedział słowa. Nasz udział w paryzkiej wystawie w r. 1878 był nawet według świadectwa duńskich czasopism tak nieszczęśliwym i tak mizernym, że Danja jeżeli jej nie porównamy z San Marino, i Monaco, najniżej stała z wszystkich krajów świata. Wonczas słyszano nader często w Paryżu zdanie, które przed oczami wszystkich Duńczyków zawsze stać powinno jako straszna przerażająca krytyka, którą raz o nas wypowiedziano, a która nie była powinna nigdy się ukazać z piętnem słuszności na czole:

Le Danemark s'efface.

Le Danemark s'efface, — to znaczy: Danja gaśnie, więdnie, a imię jej już się na ustach ludzkich nie pojawia. Danja zostaje za kulisami, już nie wstępuje na scenę; lub potyka się o własne nogi, gdy wchodzi i wychodzi. Nie jest to słowo ostatniem i jedynem, które zagranica o nas orzekła, ale jest najdobitniejszem, najgroźniejszem, które kiedykolwiek o nas powiedziano. Jest to słowo, o którem winniśmy pamiętać. Odpowiadało ono tajemnej trwodze wielu Duńczyków.

Znam jeszcze jedno słowo, które wówczas nieraz słyszano, i to nie lekkomyślnie rzucone, lecz w trosce rozpaczliwej:

„Jesteśmy narodem na śmierć skazanym".

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Herezya medyczna.

W chwili największego ożywienia sezonu kąpielowego, kiedy kuryery zapełniają szpalty korospondencyami z zagranicznych „badów" i krajowych „zdrojowisk", czy „uzdrowisk", czy też innych medyczno-filologicznych dziwolągów, warto posłuchać głosu człowieka wielce kompetentnego, znakomitego lekarza, który odważył się powiedzieć słowa prawdy w sprawie wysyłania chorych do wód.

Tym odważnym człowiekiem jest profesor Schweninger, lekarz przyboczny Bismarcka, znakomity specyalista i rozumny, a dowcipny pisarz. Podobno moralność, dr. Schweningera, zwłaszcza w sprawach, dotyczących stosunków płciowych, wiele pozostawia do życzenia. Ale, jak dobrze w swoim czasie powiedział ks. Bismarck: „Cóż mnie obchodzi jego moralność, przecież biorę go nie na kierownika mojej duszy, ale na opiekuna mego ciała." I my nie będziemy pytać dr. Schweningera o zdanie w kwestyach etycznych, ale zapytamy się go o radę, jako lekarza.

„Z chwilą zjawienia się beczek z wodą do polewania ulic, pisze on, zbliża się dla lekarzy i „powag lekarskich" (które różnią się zwykle

zmysłową. Otóż ktoś wpadł na myśl robienia podobnej suggestyi na odległość względem osób znajdujących się w stanie czynnym. Mamy w wydawnictwie towarzystwa londyńskiego kilka prób podobnej natury. Pogrążano n. p. poddawacza w śnie hypnotycznym i kazano mu odpowiednio oddziaływać na mózg osoby znajdującej się w pewnej odległości, ażeby ujrzała jego postać. t. j. uzewnętrzniła w sposób halucynacyjny poddaną ideję — osoba obrana istotnie ujrzała poddane widmo. Doświadczenie to powtórzono parę razy z powodzeniem. W innym znowu szeregu prób, podjętych niezależnie od poprzednich, poddawano ideję błyszczącego krążka: mimo odległości 400 wiorst rezultaty były takie, że zanim odważymy się zaprzeczyć ich wiarogodności. winniśmy dobrze się zastanowić. Wspomniane fakty wybiegają już po za wszelkie utarte w dotychczasowej psychologii gościńce. A jednak są one dopiero wstępem do dalej idących poszukiwań. Mianowicie wobec ostatnio wspomnianych doświadczeń, towarzystwo londyńskie — zaznaczamy z góry, że jest ono dość skłonne do mistycyzmu — namyśliło się podjąć ankietę celem zbadania wiarogodności anegdotek o ukazywaniu się widm osób umierających krewniakom i przyjaciołom. Wydelegowano paru lekarzy, którzy zaczęli zbierać krążące gadki, za pomocą krzyżowych zapytań wikłać zeznania świadków i oceniać wiarogodność pojedyńczych opowieści. Niektóre z nich wylegitymowały się o tyle, że ankieta nie mogła ominąć ich z lekceważeniem. Rezultaty zostały ogłoszone w książce, przetłomaczonej przez J. K. Potockiego na język polski. Ukazywanie się twarzy i nawet całych postaci osób umierających, czyli tak zwane zjawiska telepatyczne przybrały pozór prawdopodobieństwa. Najbardziej pozytywna psychologia musi się liczyć z temi faktami, przynajmniej nie wolno jej już poprzestać na prostem przeczeniu. Zresztą wśród zwolenników znajdujemy materyalistów najczystszej krwi. Naturalnie, nie przyjmują oni realności owych widm, ale objawy te objaśniają wzajemnem działaniem mózgów na odległość..

Występują tutaj te same czynniki, które działają w doświadczeniu z kartami, oraz w hypnotycznem poddaniu ujrzenia kogoś na jawie — tylko, że kombinacya, w jakiej one występują, jest bardziej złożona i co za tem idzie daleko rzadsza. I znowu, jakkolwiek zostaliśmy już zaprowadzeni na manowce. nie dosięgliśmy jeszcze ostatniego kresu naszej drogi. Ci sami badacze-mistycy, którzy odważyli się wnieść do nauki i w sposób pozytywny postawić kwestyę zjawiania się widm, idą jeszcze dalej, bo postanowili zwrócić się do zbadania, czy tkwi jakaś prawda w podaniach o pokutujących duchach. Doktorowie Meyers i Podmore zajęli się znowu zbieraniem i oceną wiarogodności zebranych faktów. Zachowując możliwe ostrożności i odrzucając wszystkie wypadki, cokolwiek podejrzane, przyznali przecież prawdopodobieństwo paru. Meyers wyjaśnia to zdarzenie w sposób bardziej transcedentalny, ale Podmore daję tłómaczenie, stojące na gruncie czynników znanych. Przypomina fakty nieświadomej pamięci i nieświadomej działalności mózgu, Kiedy n. p. nazwisko, o którem na razie zapomnieliśmy i mimo chęci nie zdołaliśmy go wskrzesić w pamięci, wypływa żywiołowo po niejakim czasie i niekiedy prześladuje kogoś w ciągu paru dni. Otóż, zdaniem wspomnianego poszukiwacza, umierający oddziałał na czyjś mózg z odległości i wyrył w nim ideę swojej osoby z pewnemi akcesoryami. Idea ta pozostaje w mózgu i działa od czasu do czasu, uzewnętrzniając się w sposób zmysłowo-halucynacyjny. Co więcej, złożona w śpichlerzu mózgowym idea może być udzielana od jednej żyjącej osoby do drugiej i wywoływać odpowiednie niby przedmiotowe widzenia. Legenda o pokutującym duchu zyskuje grunt faktyczny.

Poprzestajemy na objawach powyżej przytoczonem, chociaż do podobnych prób moglibyśmy jeszcze dodać inne. np. fotografowania myśli ludzkich — idea, która zrodziła się w Ameryce północnej i była rozbierana na posiedzeniach towarzystwa bostonskiego (nic bliższego o niem nie wiemy, co jest rzeczą niezbędną, jeżeli chcemy nadać jakieś znaczenie faktowi, gdyż w Ameryce szarlatanerya zmusza do takiej ostrożności). W tym razie owa halucynacya, mimo swojej podmiotowości, jak twierdzą mistycy, mogłaby być fotografowana. Zresztą nie idzie nam o fakty, ani o badanie, czy nie dostaliśmy się zupełnie na manowce. Chcemy jedynie zwrócić uwagę na naturę podnoszonych zagadnień, oraz na kierunek, w jakim prowadzone są studya. Może właśnie ta okoliczność jest najcharakterystyczniejszą. Zagadnienia, które przed dziesiątkiem lat zostałyby wyśmiane, zostają podjęte w sposób naukowy. Mogą okazać się przywidzeniami. ale ów prąd, którego są objawem, świadczy o bardzo silnym przełomie w umysłowości naszego wieku. *L. K.*

NA WYŁOMIE.

(Autorytety. — Heil dir im Siegerkranz. — Błędne półśrodki.)

Uderzył w stół i głosem podniesionym tak mówił do mnie:

— My pielęgnujemy szacunek dla autorytetów uznanych, wy go niszczycie. My cenimy w ludziach powagę wieku i długoletniej pracy publicznej, — wy stajecie przed nami z dumnie wzniesioną głową i urągacie mężom, którzy siły sterali w walce narodowej.

Brzmiała w głosie jego jakaś nuta szczerości i żalu, wargi jego drżały, a oko zapalone ciskało błyskawice gniewu. Byliśmy tylko we dwoje i zapanowała długa chwila milczenia w cichej winiarni. Czekałem aż oblicze jego wypogodziło się i chmury z czoła zniknęły, a potem z lekkim uśmiechem podchwyciłem urwany wątek dyskusyi.

— Każdy ruch nowy — odparłem — musi z natury rzeczy łamać potęgę autorytetu; spojrz na dzieje literatury, — na walkę romantyków z klasykami, — spojrz na dzieje sztuki, — na walkę pleinairystów z przedstawicielami starej metody, — wszędzie i zawsze nieomal znajdziesz tak zwane autorytety w obozie konserwatywnym. Objaw ten dziwić nikogo nie może. Ludzie wyrastają wtedy najczęściej do potęgi autorytetu, jeżeli w dominującym kierunku poważną odegrali rolę, a ztąd każda reakcya przeciw panującym prądom jest równocześnie reakcyą przeciw autorytetom uznanym. Jeżeli ruch rewolucyjny ogarnia sytuacyą, to wyrastają z niego inne powagi. które spotyka znowu urągowisko nowej generacyi, wiedzionej na szańce ideą odmienną. Więc niechaj cię ta walka z autorytami nie przeraża. To nieodłączna cecha wszelkiej ewolucyi, której żaden protest nie usunie z widowni świata. Autorytety to nieubłagani wrogowie każdego ruchu postępowego, bo skoro stara idea otoczyła ich głowy blaskiem powagi, więc przyrośli do niej krwią, sercem i mózgiem. Tak! nie marszcz czoła ponuro. Im właśnie ciskamy rękawicę. Znam w literaturze, polityce i nauce autorytety opromienione geniuszem i rzeczywistą zasługą, — aureola ta wprawdzie nie uchroni ich przed bojowym szturmem ze strony nowych, żądnych reformy kierunków, ale dyktuje nieraz przeciwnikom cześć najgłębszą i rezerwę taktyczną wobec znakomitego przedstawiciela starego obozu...

Tu zerwał się towarzysz mój z krzesła i gniewnemi oczyma błysnął jak pociąg kolejowy w ciemnościach nocy.

— Ta rezerwa, ta cześć dla zasługi u was pustką świeci. Idziecie naprzód z zuchwałem junactwem i nic was nie wstrzyma — ani wiek, ani obfite owoce pracy, ani stanowisko, ani talent... nić... nic!

Znowu zapanowało posępne milczenie, — towarzysz mój zwolna powracał do równowagi.

— Widzisz — mówiłem głosem spokojnym — gdy się tak rozglądam po stokach poznańskiego

---

od reszty kolegów tylko wysokością honoraryów) pora obfitych żniw. Ze wszystkich końców świata napływają ludzie, zwani „pacyentami“. zapewne z powodu nadzwyczajnej cierpliwości (patientia), z jaką wędrują od lekarza do lekarza.“ Całą tę masę szukających porady lekarze pośpiesznie „sortują“ i wysyłają do rozmaitych wód, zaopatrując na drogę wskazówkami ustnemi lub piśmiennemi. Przy dawaniu wskazówek piśmiennych zaleca dr. Schweninger pewną ostrożność. Zdarzyło się bowiem, że jakaś ciekawa dama, wysłana do Franzensbadu, otwarła w drodze list, dany jej przez znakomitość berlińską do lekarza miejscowego i wyczytała: „Szanowny kolego! Posyłam ci złotopiórą gęś, oskub ją dobrze, jak ja to uczyniłem...“

Co roku w lecie powstają nowe zakłady lecznicze, nowe metody i środki leczenia. Naiwni biegną na lep wymownych ogłoszeń, popartych powagą lekarzy. „W zimie — preparaty chemiczne, w lecie — o ile można najbardziej cuchnący i obrzydliwy napój, oto, powiada dr. Schweninger, los masy pacyentów żywiących chorobami swemi tysiące medyków.“ „Jeżeli recepta nie pomaga, to pomogą wody, albo pobyt w miejscowości klimatycznej, potem zaś znowu pisać można recepty aż do następnego sezonu.“

A przecie miliony ludzi chorych z wód korzystać nie mogą. Czy ludzie ci skazani są istotnie na śmierć dla tego, „że nie napełniają sobie żołądków cuchnącą wodą?“ Niższe warstwy społeczeństwa dotychczas są zdrowsze, z wyjątkiem mieszkańców wysysających soki żywotne ognisk przemysłu fabrycznego. Średnio zamożny chłop zdrowszy jest od każdego z tych milionerów, w których ciałach gnieżdżą się wszystkie, w podręcznikach lekarskich wymienione choroby. Zdrowie proletaryatu wtedy tylko znajduje się w gorszym stanie, kiedy biedacy oddają się tym samym nadużyciom, co panowie. Prosta siwucha niewątpliwie szkodliwszą jest od koniaku, a nocna gra w karty w ciasnej, napełnionej dymem tytuniowym suterynie gorzej rozstraja organizm, aniżeli noc spędzona przy zielonym stoliku w klubie.

Śmiesznem wydałoby się każdemu zdanie, iż gdzieś w Indyach lub Australii umierać muszą ludzie z pewnych chorób dla tego tylko, że nie mogą odwiedzić Karlsbadu! Twierdzenie, że w pewnych miejscowościach kuli ziemskiej biją uzdrawiające źródła, jest bezczelnem kłamstwem, mówi dr. Schweninger. Każdy rozsądny, sumienny lekarz, więcej dbający o zdrowie pacyentów, aniżeli o swoją kieszeń, może każdemu choremu przynieść ulgę na miejscu, nie pędząc go po świecie. Dziewięć dziesiątych wydawanych na podróże do wód pieniędzy, nazwać można pieniędzmi, naprożno rzuconemi we wodę lub w błoto, w dosłownem znaczeniu tych wyrazów.

Pouczającem jest obliczenie, ile różnorodnych chorób mają leczyć te same wody. Jeden pacyent ma astmę, drugi — Podagrę, trzeci — kamienie w wątrobie. czwarty — chorobę cukrową i t. d. A każdy z nich ma nadzieję wrócić do zdrowia, pijąc jednę i tę samą wodę, i zachowując wspólną dla wszystkich, szablonową, ale co kilka lat zmieniającą się dyetę.

Rozprawy o licznych metodach leczenia są po prostu blagą. Wyray c u r, c u r a (ztąd kuracya) oznacza pieczę, troskliwość, staranie się o dopomożeniu choremu lub zdrowemu. Lekarz nie może zwykle wyleczyć człowieka, ale powinien otoczyć go pewną pieczą, dawać mu rady. N a t u r a s a n a t, m e d i c u s c u r a t. Dzisiaj jednak lekarze rozprawiają z czystem sumieniem o rozmaitych metodach i sposobach leczenia. Dla każdej chorody istnieje przynajmniej jedna, a czasem — do wyboru — kilka metod leczenia. Jest metoda elektryczna, masażowanie. kuracya winogronowa, mleczna i t. d. Zapewne wpływ dyety, masażu, kąpieli, a nawet lekarstw w pewnych wypadkach może być pożytecznym, ale zawsze tylko w pojedyńczym wypadku i dla danego pacyenta. Klimat, kąpiele solne lub zwyczajne, wody żelazne lub jakie kwaśne mogą działać tak lub inaczej, silniej lub słabiej, ale zawsze tylko na c h o r e g o nie zaś na c h o r o b ę. Nie powinno być więc mowy o „metodach leczenia“, w dzisiejszem pojmowaniu tego wyrazu.

Olympu, na którym króluje czereda autorytetów, to ludzi wielkiego talentu, wielkiego rozumu i wielkiej zasługi znajduję niewiele. Gdzie spojrzę, — blaski fałszywe, sztuczne powagi, miernoty w roli olimpijskich Bogów. Więc nam się nie dziw, że takie autorytety czci nadzwyczajnej budzić w nas nie mogą, a nawet czasem o chłostę sarkazmu i gorzkiego cynizmu wołają. Rozpanoszyła się u nas nędza umysłowa, — atomowe zasługi rozdęła wzajemna adoracya do rozmiarów wielkich kolosów, — twoje bożyszcza to trzeciorzędne chochliki udające Jowiszów. O! my przed zasługą i geniuszem korzyć się umiemy, ale gdzież jest ten duch potężny, gdzież promienna działalność autorytetów twoich. Spojrz tylko: zaprzęgli się wszyscy nieomal do rydwanu dworskiego i reklamują tryumfy pruskiego stronnictwa. Zdawaćby się mogło, że każda z powag naszych to nowy Bismarck lub Gladstone, a jakież zdobycze, jaki plon narodowi przynoszą?! W nierównej walce nie żądam zresztą zwycięstwa, ale miano autorytetu politycznego temu tylko przyznaję, kto w ciężkich zapasach złożył świadectwo zmysłu strategicznego, kto w pułapkach wroga nie ginął jak zwierzyna ślepa, kto zarazków moralnej zgnilizny żołnierzom swoim nie szczepił. Klękaj przed Bogów poznańskich zbiorowym umysłem, którego najwspanialszym produktem są słynne przemówienia wiecowe, słynniejsze może pelplińskie rakiety i najsłynniejsze dzienniki poznańskie. Klękaj! ja kolan nie ugnę.

I po raz trzeci zerwał się bałwochwalca autorytetów:

— A wy... wy... cóż przynosicie narodowi?

— Przynosimy mu pracę patryotyczną o ile nam koterya pruska z sztabem autorytetów na czele pracować pozwoli. Nie mamy żadnych postronnych ambicyi, a n i e w s p i n a j ą c s i ę n a k o t u r n y „p o w a g i“, n i e ż ą d a m y n i g d y, a b y n a m w i e r z o n o n a ś l e p o. Myśl samodzielną zbudzić w narodzie pragniemy i terroryzmem autorytetu gardzimy. Ktokolwiek jesteś nie żądaj, abym przysięgał na ewangelią twoją wi mię tytułu, stanowiska zasługi, lub wieku. O! nie przerywaj. Ani włos siwy, ani szczudła powag twoich, ani ich trony złociste nie zduszą ponurej przestrogi, którą dzień każdy nieomal z ust naszych wydziera. Słyszysz? Hymn pruski dźwięczy na majówce polskich przemysłowców w Pobiedziskach, a zaledwie „Goniec Wielkopolski“ rozniósł po świecie ten najnowszy tryumf „autorytetów“, już z sierakowskich lasów wieść o podobnem zwycięstwie leci do redakcyi „Orędownika“ i przez usta jego rozbrzmiewa po całej Wielkopolsce. Gdy nowe prądy prusaczyć zaczęły mózgi nasze, owładnęło mnie trwożne przeczucie, że za mózgiem pójdą i serca. Lud polski przekuty w dworskich kuźniach politycznych w Prusaka najczystszej wody — to zaiste produkt politycznego geniuszu. Heil dir im Siegeskranz! Słyszysz przyjacielu? Ja ci pieśń inną zaśpiewam:

B o n a r o d ó w d u c h z a t r u t y
T o d o p i e r o b ó l ó w b ó l.

Towarzysz mój machnął ręką, wychylił do dna kieliszek i z słowem: „Bądź zdrów pesymisto!“ opuścił winiarnią. Szczęśliwy człowiek! Jemu myśl trwożna nie mąci snu spokojnego. Za niego myślą autorytety... Poszedł, a ja wpiłem oczy moje w artykuł „Orędownika“, smagający biczem bezlitosnej krytyki upodlenie przerażające. Byłem mu wdzięczny, serdecznie wdzięczny za energiczne napiętnowanie dekadencyi narodowej, ale zbliżając się ku końcowi artykułu uczułem nagle chłód, a następnie uderzenie maczugi. „Orędownik“ gromi skrajne wybujałości prusofilstwa naszego, ale a p o t e o z u j e d r o b n i e j s z e m a n i f e s t a c y e w c z y s t o d w o r s k i m k i e r u n k u. Strategikiem zdolnym nigdy nie był organ ludowego stronnictwa i oto nowy składa dowód najbłędniejszej taktyki w obecnych warunkach. A nadto zaślepieniec nie widzi, że stopień po stopniu, dalej i dalej, tam ostatecznie stanąć musimy, gdzie dziś jeszcze ciska kamieniem potępienia.

* *
*

Redakcya „Przeglądu Pozn.“ odbiera od jednego z czytelników list następujący w obronie Rady nadzorczej „Wielkopolanina“:

„Szanowny Panie Sullo!

Zarzuty, które w ostatnim z feljetonów wytoczyłeś przeciw Radzie nadzorczej „Wielkopolanina“ uważam za niesłuszne i nadto jaskrawe. Rada nadzorcza postąpiła sobie na wskroś legalnie, bo uchwała walnego zebrania zapadła tylko w formie jednogłośnego życzenia, któremu mocy bezwzględnie obowięzującej nikt przypisać nie może. Zresztą ubolewam nad tem, iż sarkazm Twój nadał całej polemice ton osobisty.

Łącząc wyrazy szacunku

Jeden z czytelników.“

Zamieszczając powyższy list, wierny zasadzie „audiatur et altera pars“, cofnąć nie mogę zarzutów moich ściśle rzeczowych. Interpretacya twoja, Szanowny Czytelniku, jest nazbyt formalna. „Jednogłośne życzenie“ walnego zebrania równa się, zdaniem mojem, u c h w a l e, jako uprzejma forma uchwały rzeczywistej, którą podyktował walnemu zebraniu wzgląd na bezinteresowną działalność ludzi, opiekujących się pismem narodowem.

Jeżeli zaś uważasz koloryt krytyki mojej za nadto jaskrawy, to tłomaczą mnie dostatecznie przywileje feljetonisty. Chodziło mi tylko o rzeczową krytykę urzędowego postępowania rady. To mój obowiązek, który zaiste do najprzyjemniejszych nie należy. U b l i ż a ć nie chciałem nikomu, bo chęć ubliżenia osobom, z których rada nadzorcza się składa, sprzeciwiałaby się moim pojęciom o traktowaniu spraw publicznych.

Sulla.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Kraków; 10 lipca.

(T o w a r z y s t w o S z t u k P i ę k n y c h. U s t ą p i e n i e p r o f. T e i c h m a n a. P o m n i k M i c k i e w i c z a.)

Sprawa reorganizacyi Towarzystwa Przyjaciół Sztuk pięknych nie schodzi z porządku dziennego. Zapatrywanie moje na nią podałem przed paru miesiącami, opierając się głównie na artykułach p. Antoniego Piotrowskiego. Dyskusya dziennikarska wyjaśniła, iż p. Piotrowski tu i owdzie, uniesiony ferworem polemicznym, nieco przesadził, ale przesadą też była obrona działalności Towarzystwa, umieszczona w „Czasie“. Wyłączywszy te obie przesady, pozostanie zawsze fakt, iż ostatnie lata cofnęły Towarzystwo z drogi rozwoju, zmniejszyły jego fundusz pomnikowy, nadwyrężyły powagę instytucyi przez niewłaściwe używanie salonów wystawy na wieczorowe rauty i wprowadziły stanowczy rozbrat między dyrekcyą a gronem miejscowych artystów. Skutkiem tego rozbratu zawiązało się nowe Stowarzyszenie, o którem także już pisałem, a które, lubo według obliczeń logiki i na podstawie znajomości miejscowych stosunków, nie ma przed sobą żadnej przyszłości, to wszakże na razie odbić się może niekorzystnie na Towarzystwie Sztuk pięknych.

Nowa dyrekcya Towarzystwa ma bezwarunkowo dobre chęci i dlatego postanowiła przystąpić do pewnych reform. Tylko tam, gdzie jest coraz gorzej, reformy połowiczne wystarczyć

Skoro tylko przepis leczniczy lub dyetetyczny, przeznaczony dla pojedyńczego chorego, podlega uogólnieniu, staje się prawidłem dla wszystkich, cierpiących na pewnego rodzaju chorobę, środkiem przeciw niej — w 99 wypadkach na 100 przepis ten okaże się nieużytecznym, a nawet wprost szkodliwym. Co roku powstają nowe metody leczenia, budząc początku mnóstwo różowych nadziei, a po kilku latach wywołując rozczarowanie. Głównym błędem lekarzy jest przekonanie, że mają do czynienia z c h o r o b ą nie zaś z c h o r y m, co prowadzić musi do używania szablonowych środków, bez uwzględnienia indywidualności pacyenta.

Lekarz powinien patrzeć na chorego jako na wytwór jego pochodzenia i warunków życiowych, przy każdem cierpieniu organicznem starać się wpłynąć na zmianę tych warunków, bo o zmianie odziedziczonych właściwości natury mowy być nie może. Za pomocą obserwacyi, opartej na danych naukowych, doświadczeniu, wnioskach psychologicznych, a głównie na sumiennem zbadaniu natury każdego osobnika, winien lekarz wpływać na zmianę przyzwyczajeń i nałogów, odżywiania się, obiegu krwi i t. d. Trzeba postawić pacyenta w możliwie naturalnych warunkach życia i widząc, jak zmiana ta działa na jego zdrowie, obmyśleć, co jest już wtedy nietrudnem, odpowiednie i pożądane uzupełnienia hygieniczne. Tym sposobem tylko można rozpoznać chorobę i wzmocnić chorego, ażeby mógł znosić zwykłe warunki życia. Jest to jedyna „metoda leczenia“, która może dać pomyślne rezultaty.

Ale taka właśnie indywidualna metoda niemożliwą jest w zakładach leczniczych. Lekarz zakładowy zaledwie odróżnia swoich pacyentów i nie ma pojęcia o trybie ich życia. Dzisiaj ludzie cierpiący na tę samą chorobę, mogą leczyć się w rozmaitych miejscowościach, lub, na odwrót, w jednym i tym samym zakładzie znajdują się chorzy rozmaitych kategoryi i nawet otrzymują pewną poprawę zdrowia. To znaczy, że wody właściwie żadnego wpływu nie wywierają. A raczej woda jest rzeczą bardzo pożyteczną w medycynie o ile nie zawiera, znacznej ilości domieszek mineralnych. Ale sama woda pomódz nie zdoła.

Kto ma tyle pieniędzy, że może spędzić kilka tygodni lub miesięcy, nic nie robiąc, na zdrowem powietrzu, w górach lub nad morzem, byłby głupcem, gdyby pozbawiał siebie tej rozrywki. Ale może też wyzdrowieć w domu, jeżeli znajdzie lekarza, który zbada należycie jego organizm i przepisze mu właściwy tryb odżywiania się, dyety (w najszerszem znaczeniu tego wyrazu), oraz gimnastyki fizycznej i umysłowej. Dotychczasowy zaś zwyczaj spędzania 11 miesięcy w roku w najgorszych warunkach hygienicznych i szukania w dwunastym miesiącu cudownej pomocy w zakładzie kąpielowym lub leczniczym, przypomina średniowieczny zwyczaj „kupowania odpustów.“

Tak mówi dr. Schweninger. Można tu przypomnieć, że w ubiegłym roku jeden ze znakomitych lekarzy angielskich wygłosił podobne zdanie, ale poszedł dalej jeszcze, oświadczył bowiem, że praktykowany w wielkich miastach wyjazd na lato na wieś jest raczej szkodliwym, niż pożytecznym, zwłaszcza dla osób niezamożnych. Twierdzi on, że dobrze urządzone pod względem hygienicznym miasta nie lękają się porównania ze wsią. Gnicie materyi organicznych, które najbardziej zakaża powietrze, w miastach może być niemal zupełnie usunięte, na wsi zaś odbywa się w wielkich rozmiarach, szczególnie w lasach. Woda filtrowana zdrowszą jest, aniżeli najlepsza woda studzienna. Zresztą faktem jest, że niektóre choroby epidemiczne i zakaźne bardziej grasują po wsiach, aniżeli w miastach.

Wprawdzie nasze miasta znacznie się różnią pod względem sanitarnem od miast angielskich, ale też i wieś nasza różni się od wsi angielskiej. Jaką korzyść dla zdrowia może przynieść pobyt, a chociażby nocleg tylko w ciasnej i dosyć brudnej izbie, przebywanie w sąsiedztwie budynków gospodarskich i kałuży z gnojówką, picie mętnej

nie mogą. Dyrekcya nie chce zrzec się swojego przywileju dokonywania wszelkich wyborów w łonie własnem, bez zapytywania o wolę członków. Mogło to być dobre przed laty, ale nie dziś, gdzie każdy i na każdem miejscu walczy o rozszerzenie praw swoich. Akcyonaryusze Towarzystwa pozbawieni zupełnie głosu w jego sprawach, oddawna narzekają na tę anomalią i wreszcie obojętnieją całkiem dla instytucyi.

Dyrekcya rozpoczęła od połowiczności i zaraz na pierwszym kroku przekonała się jak wadliwą jest ta droga, jak bez reorganizacyi na serjo trudno jej będzie pchać taczkę żywota. Sprawa, o którą chodziło, tak się przedstawia: Już przed laty dwudziestu artyści krakowscy nie byli zadowoleni z ówczesnej dyrekcyi, a więc, mając na czele swojem Matejkę, urządzili osobną wystawę Sztuk pięknych w pałacu Spiskim. Dyrekcya przestraszyła się i weszła z nimi w układy. Pokój nastąpił na warunkach następujących: artyści zobowiązali się, że nie będą urządzali żadnych osobnych wystaw prac swoich w Krakowie, a dyrekcya zobowiązała się przeznaczać pewną część swoich dochodów na cele Towarzystwa wzajemnej pomocy artystów. Powstające obecnie nowe Towarzystwo e o i p s o zwalnia dyrekcyą od wypełniania swego obowiązku, a wskutek tego byt Wzajemnej Pomocy jest zagrożony. Dyrekcya uchwaliwszy rozwiązać swój stosunek z Wzajemną Pomocą, postanowiła skorzystać z tego i wejść w inny ściślejszy a dogodniejszy dla niej stosunek z artystami. Uchwaliła ustanowić fundusz pożyczkowy dla artystów, przeznaczając na to trzecią część dochodu z wejścia na wystawę i procent od sprzedanych na wystawie dzieł sztuki. Funduszem tym zarządzałaby komisya artystyczna, złożona z dwóch członków dyrekcyi i z pięciu członków wybranych przez artystów mieszkających w Krakowie. Oprócz przyznawania pożyczek, komisya miała się zajmować ocenieniem, które z dzieł nadesłanych ma być przyjęte na wystawę, oraz rozstrzyganiem wszelkich konkursów Towarzystwa. Dla porozumienia się z artystami co do tego projektu, zwołał prezes Towarzystwa pan Rodakowski zebranie artystów, które jednak nie doprowadziło do żadnego rezultatu. Cały projekt spotkał się z zarzutami wypowiadanemi podobno nawet w formie niebardzo parlamentarnej. Prezes, który niedawno powrócił z zagranicy i był przyzwyczajony innych grzecznie traktować i sam być grzecznie traktowanym, zdziwił się niepomału, że za swoje bądź co bądź dobre chęci został obrzucony gradem słów niezbyt dobranych, którym towarzyszyły wrzaski i wymachiwania rękami. Uciekł więc z posiedzenia, a komitet Towarzystwa cofnął swą uchwałę co do ustanowienia komisyi artystycznej i oddał zarząd nad funduszem pożyczkowym swojej własnej komisyi rozpoznawczej. Stosunki zatem nietylko niepolepszyły się, ale znacznie się pogorszyły. Cicha walka artystów z Towarzystwem przemienia się w walkę otwartą, na której obie strony tylko stracić mogą, a nie byłoby tego wszystkiego, gdyby dyrekcya zrozumiała, że trzeba uledz słusznym wymaganiom opinji i zmienić statut stósownie do istniejących dziś warunków. Wówczas artyści nie mogliby żadnych skarg wytaczać, bo choćby nie wszystko szło po ich myśli, byłaby odpowiedź gotowa: dyrekcyą wybrali członkowie, a członkowie są panami Towarzystwa.

W odpowiedzi na ostatnią uchwałę komitetu Towarzystwa zebrali się artyści malarze i uchwalili rodzaj u l t i m a t u m. Jeżeli dyrekcya chce żyć w zgodzie z artystami musi stanowczo zmienić statut Towarzystwa w ten sposób, aby dyrekcya składała się z 16tu członków: ośmiu artystów, przez nich samych wybieranych, i z ośmiu miłośników sztuki, wybieranych przez ogół członków na ogólnem zgromadzeniu. Tak wybrany komitet ma dopiero powoływać z poza siebie prezesa i płatnego sekretarza. Artyści znajdujący się w komitecie mają składać komisyę artystyczną, przyjmować dzieła na wystawę, rozstrzygać konkursy i zawiadywać funduszem pożyczkowym.

Mieliśmy w tych dniach rzadko trafiającą się uroczystość uniwersytecką, a mianowicie pożegnanie ustępującego z katedry prof. anatomji Teichmana. Z ustąpieniem jego z uniwersytetu traci Alma Mater jedyną znakomitość znaną szeroko w kołach naukowych po za granicami kraju. Teichman, syn Jakóba i Tekli z Olszewskich, pochodzi z Królestwa Polskiego. Ciężkie położenie materyalne nie pozwoliło mu od razu oddać się naukom przyrodzonym, które go ciągnęły do siebie. Dopiero jako 28mio letni młodzieniec znalazł się w Heidelbergu, gdzie od razu zwrócił na siebie tak uwagę, że w rok później otrzymał posadę asystenta w Getyndze. Zanim skończył uniwersytet, już nazwisko jego było znane lekarskiemu światu naukowemu, dokonał bowiem odkrycia nieznanych dotąd kryształków krwi, którym dał nazwę h e m i n y. Zdawszy egzamin z wyszczególnieniem, otrzymał stypendyum na zwiedzenie zakładów znakomitszych anatomicznych w Europie. Zwiedził je więc w Anglii, Belgii, Holandyi, Francyi, Szwecyi, Norwegii, Austryi i w Niemczech. W dalszem jego naukowem c u r r i c u l u m v i t a e są następujące etapy: docent w Getyndze, nagrodzony za rozprawę przez uniwersytet w Kopenhadze, wzywany do objęcia różnych katedr, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, członek rozmaitych Towarzystw naukowych i akademii, nagrodzony medalem w Paryżu za okazy anatomiczne, wiceprezes krakowskiej akademii umiejętności, rektor uniwersytetu, kawaler orderów i t. d. Dzieła jego naukowe postawiły go w szeregu najznakomitszych anatomów. W roku zeszłym ukończył lat 70, a prawo austryackie twierdzi, że kto dożył do tego wieku, nie jest już zdolnym do wykładów. Jedynie na podstawie uchwały wydziału może go minister jeszcze na rok zdolnym uczynić, to też jeszcze przez rok ubiegły dozwolono Teichmanowi wykładać swój przedmiot ulubiony. Ale klamka zapadła: kto ma lat 71, ten jako profesor uniwersytetu w Austryi jest już takim niedołęgą, że go żadna moc ludzka na katedrze utrzymać nie zdoła. Młodzież sprawiła Teichmanowi uroczystą owacyą w gmachu teatru anatomicznego, w której również wzięli udział profesorowie wydziału lekarskiego, lekarze szpitalni i asystenci. Po śpiewach i przemówieniach, zabrał głos Teichman, serdecznie podziękował za owacyę i zaręczył, że nie ma zamiaru kończyć czynności profesorskich. Dzielą się one na dwie kategorye: na urzędowe, które muszą ustać, i na moralne, które nie mogą być skrępowane żadnemi rozporządzeniami lub paragrafami. Do tych obowiązków mówił w końcu, należy posuwanie naprzód umiejętności, praca nad nią dzień i noc. Na tem polu ja panów nie żegnam. Skalpeli nie położyłem na stół, ani pióra nie złamałem. Jak długo siły pozwolą, pracować będę; od tych obowiązków nikt mnie nie uwolni! Wspólnie pracujemy na jednem polu; ja zbliżam się do końca, panowie rozpoczynacie pracę. Spieszcie się z tą pracą, ja długo nie mogę czekać. Im wcześniej znajdę sposobność spotkać się z panami w pracy na tej niwie, tem milej dla mnie będzie.

Wieczorem uczczono Teichmana wspaniałym korowodem z pochodniami.

Nareszcie ustawiono figurę Mickiewicza na wznoszonym mu pomniku. Brakuje tylko jednej grupy przedstawiającej Naukę, którą obiecuje rzeźbiarz Rygier dostawić w Październiku. Po ustawieniu figury zaprosił pan Rygier czy też komitet „szczupłe grono“ tych, których uważał za znawców, czy też za przedstawicieli najwyższej inteligencyi, (bo dokładnie nie wiadomo), do obejrzenia jak figura się przedstawia. Zaproszenie było podobno (r e l a t a r e f e r o) dość nieinteligentnie wystylizowane i co gorsza, żądało od owego „szczupłego grona“, aby się stawiło na rynku o godzinie 4-tej rano. Byli zapewne tacy, co do tej godziny dotrzymali z dnia poprzedniego, przy pomocy rozmowy, herbaty lub też innych wzmacniających narkotyków, ale znaczna większość zaproszonych zrezygnowała ze szczęścia ofiarowanego jej bezpłatnie przez komitet czy też p. Rygiera. Zaproszona redakcya „N. R e f o r m y“ oświadczyła nazajutrz w swym dzienniku, że kto przez cały dzień pracuje, ten się wyspać musi, a nie wstawać o godzinie trzeciej, aby być gotowym na czwartą. Redaktor „G ł o s u N a r o d u“ oznajmił w kronice, „że zajęty w nocy odczytywaniem telegramów o zamordowaniu Carnota, zasnął nad ranem snem twardym i zaspał godzinę dla „szczupłego grona“ przeznaczoną. I z redakcyi „C z a s u“ nikt nie był, bo nie pojawiła się nazajutrz żadna wzmianka w tym dzienniku. Dopiero na trzeci dzień zapowiedział „C z a s“ relacyą kompetentnego pióra, zaznaczywszy tylko, iż „Mickiewicz pojęty cokolwiek inaczej, niż go zwykle wyobrażają w glory korony laurowej, wyrwał z wszystkich piersi okrzyk podziwu.“ Było to widocznie jakieś wysokie c piersiowe, jeżeli było, bo wątpię, ażeby krzyczano. Nie jestem też wstanie zrozumieć, jak może wyglądać Mickiewicz „cokolwiek inaczej“ niż „w glory korony laurowej.“ Nie wygląda zatem na poetę — na cóż więc wygląda? na jenerała, biskupa, prezydenta sądu, kapelusznika, czy weterynarza? Może nas co do tego „kompetentne pióro“ objaśni. A może wygląda Mickiewicz na członka Rady miejskiej krakowskiej?

K. Bartoszewicz.

---

a czasem cuchnącej wody i spacer do wilgotnego zazwyczaj lasku? A takie są warunki większości mieszkań letnich dla ludzi niezbyt zamożnych. Rzecz jasna, że bogaci, czy to na wsi, czy w mieście, mogą urządzić sobie życie zgodnie z wymaganiami hygieny.

A jednak „letnie mieszkania“ cieszą się sympatyą lekarzy na równi z zakładami kąpielowemi i stacyami klimatycznemi.

Lecznicze znaczenie pobytu na wsi lub u wód polega na zmianie trybu życia, na odpoczynku od zajęć. Ale dla tych, którzy odpoczywać nie potrzebują, jak również dla tych, którzy na wsi lub w mieście odpoczywać i pozbyć się kłopotów nie mogą, jest to najczęściej tylko niepotrzebny wydatek.

Ośmielony przykładem dr. Schweningera, wtrąciłem w końcu swoje trzy grosze, za co najmocniej czytelników przepraszam, jeżeli uwagi moje nie trafią im do gustu. W każdym razie, gdybym się nawet zupełnie mylił, mój przypisek nie osłabi doniosłości wywodów znakomitego lekarza i tej, wprawdzie dawno już wygłoszonej, ale nieuwzględnianej w praktyce zasady, że przedmiotem leczenia nie jest c h o r o b a ale c h o r y.

Odszczepieniec.

Z UPOMINKU.

II.

TRZY UŚMIECHY.

— Za życie, za świat, za szczęście, które rozchylają swe zorze wobec uniesień pierwszej młodości, w jej złotej wierze we wszystko, w upojeniach, szałach i dziecińtwach bezpowrotnych, jedynych, ukochanych — dam się, dam!

— W różowej sieci złudzeń i wrażeń, w szeleście wiosennych powiewów, w przemamarzonej nocy o jutrze, w którem czeka wesołość, w cichej dumce o blaskach kradzionych z księżyca, w niewyraźnej piosence o uczuciach niezmiennych, w szepcie z przyjaciółką o skarbie niewinności nieskalanej, — dam się, dam! — woła naiwny uśmiech rozkwitającej, jak kwiat czystej, dzieweczyny.

— Za uścisk, za ten uścisk, do którego drżą ramiona, za usta, pocałunkami wchłaniające w siebie jad pożądań, za spojrzenie, otwierające głębie ducha, za wyciągnienie dłoni do puchara, z którego rozkosz wytryska, — dam się, dam!

— Za cenę zerwania z harmonią obyczajów, za odwrócenie się od czystych rodzinnych progów i ucieczkę od węzłów starganych w walce pragnień, za ból i cierpienie nawet

pochylające głowę na pierś omdlałą — dam się, dam! — wołał uśmiech grających zmysłów drugiej, upadającej kobiety.

Za pieniądz! i tylko za to, co on dać może, w zbytku, w pewności o jutro, w zapomnieniu o nużącem życiu, w chyżości godzin ulatujących, w ustawicznej podniecie wśród sztucznych zachwytów i dźwięków pieśni bachanckiej — dam się, dam!

— W tchnieniu uczuć i chęci niesięgających po za metę zdawkowej wesołości, w kaskadzie blasków, przypominających fałszywe brylanty szczęścia — dam się, dam! — wołał uśmiech trzeciej kobiety.

Świat, widząc uśmiech pierwszy, wzruszał ramionami z politowaniem, drugiego najczęściej nie rozumiał i potępiał go, za trzecim się uganiał, przyjmował go, czasem nawet pożądał, choć uśmiech ten był zdawkowy, fałszywy, obojętny, lub roztopiony w łzach.

Simara (*Marja Napieralska*).

KRONIKA LITERACKA.

— L'es prit chrétien et le patriotisme. Léon Nikolaievitch Tolstoi. Paris 1894.

Słynny autor rosyjski nie dzieli zachwytu swoich ziomków z powodu przymierza z Francyą i zżyma się na kłamstwa, jakie brzmiały w toastach oficyalnych na uctach w Tulonie, — gdzie na ustach były słowa pokoju, a umysły wszystkich opanowało widmo krwawej wojny. W imię jakiej to zasady popełnia się tyle kłamstw, tyle nikczemności, pyta autor. Odpowiedź jego brzmi: w imię patryotyzmu. Oto obraz patryotyzmu, nakreślony piórem Tołstoja:

„Klasy pracujące wcale się nie troszczą o patryotyzm. Przekładają one bezwarunkowo sprawy swoje osobiste nad interesy swej ojczyzny. Prawdziwy chłop rosyjski ojczyzny swojej nie widzi tam, gdzie jego mówią językiem i gdzie car biały panuje. Jemu ojczyzną umiłowaną miejsce, w którem rozporządzać będzie możliwie wielkim obszarem ziemi urodzajnej. Tak samo myślą chłopi wszystkich krajów Europy. Patryotyzm u nich rozbudzony jest sztucznie, nie jest u nich uczuciem naturalnem i samorodnem.“

„Czemże więc jest patryotyzm? Oto wyrazem najbrutalniejszym pychy narodowej! Nazywać się patryotą, równa się twierdzeniu następującemu: „mój kraj jest lepszym od innych“.

„Znaczy to chorować już nietylko na brak skromności, ale wręcz szczerości. W imię tego sztucznego i potępienia godnego uczucia, spełniają się najpotworniejsze okrucieństwa. W rzeczy samej okrutnem jest wyświecenie tego faktu. Nie ma i nie było nigdy gwałtu popełnionego zbiorowo przez jednę grupę osób na drugiej, któregoby nie wykonano w imię patryotyzmu. W imię patryotyzmu bili się Rosyanie z Francuzami, i w imię tegoż samego uczucia gotują się teraz, aby bić się przeciwko Niemcom. I znowu w imię patryotyzmu sposobią się Niemcy do wojny z dwoma frontami. W jego to imię gnębią Rosyanie Polaków, a Niemcy Słowian. W jego imię mordowali komunardzi wersalczyków, a wersalczycy komunardów.“

„I komuż służy ten patryotyzm? Służy on tym, którzy budzą go sztucznie w sercu ludu, służy on klasom rządzącym i rządom. Ludzie, którzy lud oszukują, nie czynią tego bynajmniej w intencyach przewrotnych, najczęściej działają oni w dobrej wierze, ale namiętności ich oślepiają, a tłum im przyklaskuje jednogłośnie, ponieważ nie pojmuje motywów ich działalności.“

„Jakiż jest środek zaradczy w obec tego zła? Nie trzeba go szukać zbyt daleko. Znajduje on się w etyce chrześcijańskiej. Zawiera go w całej pełni przykazanie „kochajcie się nawzajem“. Ażeby się jednak zastosować do tego wzniosłego przepisu, trzeba się przedewszystkiem przejąć prawdą i zerwać wszelkie związki z kłamstwem społecznem, które się zowie opinją publiczną. Trzeba słuchać głosu sumienia i serca swojego, nie troszcząc się oto, co władzcy i mędrkowie mówią naokół. Każdy w sobie samym znaleść powinien nietylko źródło zbawienia, ale i podstawę szczęścia wedle Chrystusa.“ S.

* * *

— Nr. 12 „Słowa Polskiego“ wyszedł i zawiera: Słowianie i my. — Przegląd polityczny. — Nauka: Spirytyzm IV. (Ciąg dalszy). nap. Wł. Kozłowski. — Asnyk, jako poeta (sylwetka literacka), nap. Zdzisław. — Powieść i poezya: I. Bezdusznym! wiersz Zdzisława. II. Niemczaki, nowella M. Konopnickiej. III. Hymn do pracy, wiersz St. Rossowskiego. — Echa polskie. — Moralność w polityce (Ciąg dalszy), odczyt Z. Miłkowskiego. — Nasza muzyka. III. nap. Ed. Walter. — Rozmaitości. — Nekrologia. — Bibliografia. — Od Administracyi. — Ogłoszenia.

KRONIKA POWSZECHNA.

— W ubiegły wtorek odbyło się walne zebranie poznańskiego Tow. Przyjaciół Nauk.

Pan mecenas Głębocki zdał sprawę z prac komisyi statutowej i w imieniu komisyi następujące trzy wnioski postawił: 1) aby rewizyą statutów odroczyć do czasu, gdy nowy statut cywilny wejdzie w życie; 2 aby komisya do tego czasu obmyśliła potrzebne zmiany zgodnie z ustawami nowego kodeksu; 3) aby posiadała prawo kooptacyi. Wszystkie te propozycye przyjęto na walnem zebraniu jednogłośnie.

Na wniosek zarządu zamianowało walne zebranie członkami honorowemi Towarzystwa ministra oświecenia p. dr. Madeyskiego i sekretarza jeneralnego Akademii umiejętności p. prof. Smolkę. Po ukończeniu obrad odczytał prezes wydziału historyczno-literackiego p. dr. Erzepki rozprawę p. dr. Fr. Chłapowskiego p. t.: „O stosunku Augusta Cieszkowskiego do nauk przyrodniczych w ogóle, a do wydziału przyrodniczego w szczególności“.

— Wystawy. W Erfurcie urządzono wystawę przemysłową. — Wystawę gospodarstwa wiejskiego w Berlinie zamknięto w początkach czerwca, zwiedziło ją 165,400 osób. — W Zgorzelicach na Śląsku urządzono wielką wystawę róż, która trwać będzie do połowy lipca.

— Zjazdy i kongresy. We Lwowie odbył się zjazd techników polskich, na którym poseł Szczepanowski odczytal znakomitą rozprawę „o potrzebie rozwoju wielkiego przemysłu w Galicyi“. — We Wiedniu odbył się wiec adwokatów i prawników austryackich. Galicyę reprezentowali pp. dr. Lissowski i Jakubowski. — W Paryżu odbył się kongres atletów i gimnastyków. — Zjazd zachodnio-pruskich przemysłowców i śpiewaków w Pelplinie udał się pod względem liczebnego udziału nadspodziewanie. „Orędownik“ donosi, że zjazd ten odznaczał się charakterem ultrareligijnym i wywierał wrażenie odpustu.

— Teatr i muzyka. Scena w Łodzi będzie prowadzoną nadal przez p. Janowskiego, gdyż p. Glicksohn odstąpił od zamiaru tej entreprizy. — W Krakowie odegrano komedyą Sardou „Madame Sans Gêne“; we Lwowie wystawiono krotochwilę Zielińskiego p. t. „Kruczek mecenasa.“

— Wiadomości społeczne i polityczne. Międzynarodowa ugoda przeciw anarchistom przyjdzie niezawodnie do skutku i w życie wejdzie z dniem 1 października. — W Sycylii zaprzestało pracy około 6,000 górników i robotników fabrycznych. — W Lizbonie zabrakło chwilowo chleba skutkiem wydalenia piekarzy hiszpańskich. — Parlament węgierski zatwierdził projekt mocą którego religia żydowska zyskała równouprawnienie z inemi religijami. — Wiadomości o niebezpiecznej chorobie Leona XIII okazują się fałszywemi. — Dla ochrony lasów w Królestwie polskiem mają być zastosowane prawa obowiązujące w cesarstwie rosyjskiem i ustanowione komitety odnośne. — W Królewcu ogłosili wszyscy dorożkarze bezrobocie. — Ruch w kopalniach szkockich ustał zupełnie, gdyż 75,000 robotników świętuje.

— W słońcu. Pod tym tytułem (Au Soleil) umieszczony będzie w najświeższym, lipcowym zeszycie pisma paryzkiego „Revue des Revues“ artykuł Björnstjerne Björnson'a, w którym znany pisarz norwegski występuje przeciw rozpowszechnionemu w świecie cywilizowanym zwyczajowi robienia dnia z nocy. Ten nieporządek — mówi on — rujnuje zdrowie ludzi, psuje ich gusta, niszczy ich inteligencyę, podobnie, jak nadużywanie alkoholu. Lekarstwem na to złe jest, według Björnson'a, wydanie specyalnych, odpowiednich praw przez państwo. „Z chwilą — pisze — kiedy wszyscy robotnicy i urzędnicy państwowi, wszystkie szkoły zaczynać będą pracę o świcie, a kończyć w południe (w razie potrzeby i kilka godzin później), można być pewnym, że ta reforma pociągnie za sobą inne. Południe będzie znów południem. Sklepy będą zamykane po obiedzie: wieczór będzie znów wieczorem, jak w dawnych czasach; teatry grać będą od godziny czwartej do siódmej, albo od piątej do ósmej; a pomiędzy dziewiątą a dziesiątą wszystko będzie zamknięte i pogaszone jak na wsi, gdzie nigdy nie przestano pracować we dnie, a spać w nocy.“

— Kameleony jako moda. Moda jest dziwnie okrutną. W Europie urządzano hekakomby z ptaków wędrownych dla ozdoby kapeluszy; zabijano je w chwili, gdy się zjawiały na południu i odsyłano zazwyczaj modystkom w wielkich miastach. Na szczęście rzeź ta już ustała, a nie oszczędzano nawet jaskółek, które dzieci po wsiach szanują. W Ameryce brazylianki wymyśliły nową ozdobę włosów i gorsetów za pośrednictwem świecących chrząszczów. Przypinano je złotą szpilką i tańczono pod gołem niebem, a przy odblasku fosforycznym tych żywych klejnotów. Zeszłej zimy w Chicago i głównych miastach Stanów Zjednoczonych zastąpili amerykanie Północy chrząszcze kameleonami. Przytwierdzano je do eleganckiego łańcuszka. Każdy mężczyzna nosił na ubraniu, a każda kobieta we włosach nieszczęsnego żywego kameleona. Doszło to do takiego szału, że w samej Florydzie sprzedano ich setki tysięcy. Opanowała wszystkich mania kameleonowa. Pewien przemysłowiec sprzedawał je na Brodaway po dolarze za sztukę, ale konkuren[cja] obniżyła cenę, tak, że niebawem kameleony zeszły w[...] nie do 2 fr. Najpiękniejsze amerykanki zastępow[ały] brylanty kameleonami. Tańczono po całych noca[ch] z temi zwierzątkami na pół nieżywemi u piersi. O [...] godności kobieca! Nareszcie towarzystwo opieki [nad] zwierzętami w Nowym Jorku wmieszało się w spra[wę] i kupcy musieli zaprzestać tego okrutnego przemy[słu] tak, że odtąd tylko drogą kontrabandy można dos[tać] kameleona za cenę jednego dolara.

Zmarli:

Betty Paoli (Barbara Glück, słynna poe[tka] niemiecka, umarła w Baden pod Wiedniem, ma[jąc] lat 78.

Prof. August Dillmann, głośny oriental[ista] badacz języka etiopskiego, przyjaciel Dawida Stra[ussa] i Zellera, umarł w Berlinie.

Jan Carries, rzeźbiarz francuzki, samouk, kt[óry] w r. 1892 zwrócił na siebie uwagę całą seryą biust[ów] Satyrem i elegancką statuą kawalera z czasów [Lu]dwika XIII. Znalazłszy glinę, wybornie nadającą [się] do wyrobów terrakotowych, otworzył pracownię ce[ra]miczną i wkrótce potem amatorowie na wagę zł[ota] kupywali przedmioty sztuki, pochodzące z tego z[a]kładu.

Wiliam Calder Marshal, wybitny rzeźbia[rz] angielski, umarł w Londynie.

BIBLIOGRAFJA.

— Szymon Matusiak. O pismach zakaza[nych]. Kraków 1894. Cena 0,40 mr.

— Józef Chociszewski. Malowniczy opis Polski. Poznań 1894. Wydanie drugie. Zeszytów 12. Cena zeszytu 0,25 mr.

— Arcydzieła Szekspira w przekładach Paczkowskiego, Koźmiana i Kasprowicza. Lwów 1894. Cena Zeszytu 0,25 mr.

— Alfred Tennyson. Ginewra. Poemat. Tłom. Adam Pajgert. Warszawa 1894. Nakł. T. H. Nasierowskiego. Cena 0,15 mr.

— Kazimierz Ehrenberg. Świat feljetonowy. Kraków 1894. Cena 2,40 mr.

— Wiktorya Niedziałkowska. Deklamacye. Zbiór poezyi dla użytku uczennic zakładów wychowawczych. Lwów 1893. Cena 4,00 mr.

— Jerzy Moszyński. Myśl polityczna z księgi dziejów, cierpień i pracy. Kraków 1894. Tom I. Cena 10 marek.

— Stefan Surzyński. Nasze hasło. Zbiór pieśni polskich, obyczajowych i okolicznościowych, piosnek patryotycznych i narodowych, piosnek żartobliwych i towarzyskich, polonezów, mazurów, marszów, krakowiaków, kujawiaków, obertasów, piosnek dla sokołów, aryi, dumek i różnej innej treści z melodyami. Dla korpusów wakacyjnych i młodzieży szkolnej. Tarnów 1894. Zeszyt I i II. Cena zeszytu 0,20 mr.

— Wydawnictwo groszowe imienia Tadeusza Kościuszki. Pieśni narodowe, staraniem młodzieży na pamiątkę setnej rocznicy bohaterstwa ludu wydane. Kraków 1894. Cena 0,10 mr.

Odpowiedzi Redakcyi.

— St. Mar. Dziękujemy, książki w drodze.

— Zofii. Za pseudonimem „Paul de Coś“ kryje się Kośmiński. Ciekawości pani co do pseudonimów „Przeglądu Pozn.“ zaspokoić nie możemy. Nowy artykuł Izabelli Moszczeńskiej ukaże się w jednym z najbliższych numerów.

— K... Oddaliśmy Sulli. Przyobiecał wyzyskać w feljetonach swoich.

— Alastorowi. Odpowiedź prześlemy listownie w przyszłym tygodniu.

— Maryi w K. Prosimy uprzejmie wybaczyć, ale podejmując się recenzyi grafologicznej pisma nadesłanego nam przez jednę z czytelniczek, nie obiecaliśmy bynajmniej zaprowadzić stałej rubryki grafologicznej.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „Przeglądu Poznańskiego.“ Czcionkami W. Simona w Poznaniu.